



MATEUSZ
LACHOWSKI



JAN
PIEKOŁO



MIROSLAW
ROZANSKI



AGNIESZKA
LEGUCKA



MICHAŁ
BOGUSZ



ANNA
KWIATKOWSKA



JAKUB
WIECH



KRZYSZTOF
WOJCZAL



ROK OBAW I NADZIEI. CO CZEKA EUROPE W 2023?



ANDRZEJ
KOHUT



KAROLINA
OLSZOWSKA



BARTŁOMIEJ
RADZIEJEWSKI



CEZARY
KAZMIERCZAK

INSTYTUT
NOWEJ
EUROPY



MICHAŁ
BANASIAK



MARCIN
CHRUŚCIEL

Autor:

Michał Banasiak

Redakcja i korekta:

Michał Banasiak
Marcin Chruściel

Współpraca:

Jan Sobieraj
Mateusz Gibała

Projekt graficzny i skład:

Bożena Hornatkiewicz / OKABE

ISBN: 978- 83- 964350- 6- 4

Instytut Nowej Europy

www.ine.org.pl

Warszawa, grudzień 2022



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 - 2030



SPIIS TREŚCI

- Słowo wstępu. W stronę budowania polskiej wizji Europy 4
MARCIN CHRUŚCIEL
- Od Autora. Rok obaw i nadziei 5
MICHAŁ BANASIAK

ROZMOWY:

- 01 „Smród, błoto i depresja”. Wojna, jakiej nie widać w telewizji 7
MATEUSZ LACHOWSKI
- 02 Sojusz? Unia? Federacja? Co dalej z relacjami Polski i Ukrainy? 11
amb. JAN PIEKŁO
- 03 Cena bezpieczeństwa. Jakich armii i jakich sojuszy potrzeba Europie? 15
gen. MIROSŁAW RÓŻAŃSKI
- 04 Żywy trup czy zagubiona potęga? Rosja po inwazji na Ukrainę 19
dr hab. AGNIESZKA LEGUCKA
- 05 Niekończąca się pandemia, wiszący konflikt o Tajwan i rywalizacja z USA. Czy Chiny mają czas na Europę? 23
dr MICHAŁ BOGUSZ
- 06 Niemcy u progu wymuszonej transformacji 28
dr ANNA KWIATKOWSKA
- 07 Kryzys energetyczny wisi nad Europą. „Płacimy za brak naszej transformacji” 33
JAKUB WIECH
- 08 Nie tylko Rosja. Jakie konflikty mogą wkrótce zagrozić Europie? 38
KRZYSZTOF WOJCZAL
- 09 „Europa potrzebuje obecności Stanów, Stany potrzebują silnej Europy” 42
ANDRZEJ KOHUT
- 10 20 lat rządów i... koniec? Co w 2023 roku czeka Turcję Erdoğan? 47
dr KAROLINA WANDA OLSZOWSKA
- 11 Reformować Unię czy szukać alternatywy? Przyszłość europejskiej współpracy 51
BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI
- 12 Biznes w czasach kryzysu. „Dopadło nas trzech jeźdźców Apokalipsy” 55
CEZARY KAŻMIERCZAK

SŁOWO WSTĘPU



Oddajemy w Państwa ręce zbiór dwunastu intrygujących wywiadów z uznanymi teoretykami oraz praktykami z zakresu stosunków międzynarodowych, wojskowości, energetyki oraz gospodarki. Ich wspólnym mianownikiem jest pytanie o kształt otoczenia międzynarodowego, w którym Europa znalazła się u progu 2023 roku – nie otrząsnąwszy się jeszcze całkowicie z pandemii i spowodowanej przez nią recesji, już od blisko roku mierząca się z największym konfliktem zbrojnym w swoich granicach od czasów II wojny światowej, a mianowicie rosyjską inwazją na Ukrainę z całą jej brutalnością.

Rozpoczynając od bardzo osobistej rozmowy dotyczącej pracy korespondenta wojennego wśród ukraińskich żołnierzy i cywilów, przechodzimy do możliwych scenariuszy rozwoju relacji polsko-ukraińskich oraz omówienia nowej architektury bezpieczeństwa Europy. Idąc dalej, będą mogli

Państwo przeczytać o wyzwaniu dla europejskich stolic ze strony Chin, dokonującej się zmianie paradygmatu w polityce Niemiec, a także o wpływie wojny na transformację energetyczną Europy. W kolejnej części czekają na Państwa przenikliwie rozmowy o perspektywie dalszego zaangażowania USA na Starym Kontynencie, możliwości wybuchu nowej arabskiej wiosny oraz zmiany władzy w Turcji i zmięczeniu ery Erdoğan. Na zakończenie natomiast dwie rozmowy o sprawach fundamentalnych – **przyszłości europejskiej współpracy w ramach UE i zderzających się wizjach europejskiego federalizmu oraz Europy państw narodowych, a także o stanie europejskich gospodarek po pandemii**, doświadczanych obecnie przez trzech jeźdźców Apokalipsy: wojnę, inflację i kryzys zadłużeniowy.

Po przeszło trzech latach od opublikowania pierwszej publikacji Instytutu Nowej Europy, cyklu rozmów poświęconych wizjom społecznej, gospodarczej i politycznej przyszłości Europy, **chcielibyśmy w symboliczny sposób nawiązać do tej publikacji i ponownie postawić kwestię przyszłości Starego Kontynentu na głównym miejscu w naszej agendzie**. Zgadzaamy się tym samym ze słowami jednego z naszych rozmówców, że: „Podstawową kartą, którą możemy położyć na stół, a wciąż tego nie robimy, jest nasza, polska wizja Unii Europejskiej i szukanie dla niej sojuszników”. Głęboko wierzymy w to, że poniższy cykl rozmów i zapoczątkowana na jego bazie dyskusja przyczynią się do wypracowania zrębów polskiej wizji Unii Europejskiej, ale również konturów Europy, którą chcemy współtworzyć.

Marcin Chruściel
Prezes Zarządu
Instytutu Nowej Europy

OD AUTORA

**MICHAŁ
BANASIAK**



Europa dawno nie wyczekiwała niczego tak, jak jutrenki 2023 roku. Ten poprzedni naznaczony był tyłoma perturbacjami, że po jego odejściu mamy nadzieję na wyłącznie lepsze czasy.

Europejczycy nie okrzepli jeszcze po walce z pandemią i jej nieodłącznymi gospodarczo-społecznymi obostrzeniami, a już przyszło im mierzyć się z od lat tu niewidzianą i niespodziewaną wojną. Nawet jeśli jej barbarzyński wymiar militarny ograniczył się do Ukrainy, to strach rozlał się po całym kontynencie. Decydenci od Bałtyku po Gibraltar radzili co zrobić, by ograniczyć negatywne skutki nagłej potrzeby wycinania z europejskiego organizmu energetyczno-gospodarczego tak ważnego ogniwa, jakim do 24 lutego 2022 roku była Rosja.

Dziś wojna nam – taka nasza, ludzi, niedoskonałość – spowszedniała. Im dalej od frontu, tym szybciej nauczyliśmy się z nią żyć. Ale to nie osłabia jej faktycznego znaczenia dla przyszłych losów nie tylko Ukrainy, ale całej Europy. **Starcie z Rosją jest największym wyzwaniem 2023 roku, a jego rezultat może na lata ustalić reguły, według których będzie się toczyć polityczne, gospodarcze i społeczne życie na Starym Kontynencie.**

Dlatego w niniejszej publikacji wojna rosyjsko-ukraińska zajmuje sporo miejsca. Moi rozmówcy pozwalają spojrzeć na nią wielorako: oczami reportera, generała, dyplomaty, analityka i znawczyni Rosji, budując możliwie pełny obraz konfliktu, ale też przyszłych relacji Polski i Ukrainy.

Z zaproszonymi do rozmowy ekspertami zaglądamy do USA i Chin zastanawiając się, jakie plany mają wobec Europy tamtejsi decydenci. Ich polityczne kroki nie będą dla nas, Europejczyków, bez znaczenia. Patrzymy na kondycję gospodarczą i wewnętrzne problemy całej Unii i jej państw członkowskich. Analizujemy przyszłość europejskiej integracji i energetyki.

To wszystko wyzwania, z którymi szybko się nie uporamy, ale których waga powinna nas motywować do tego, by nie odkładać ich na później.

Michał Banasiak

Współpracownik Instytutu Nowej Europy, gospodarz serii podcastów „Przystanek Europa”.

Specjalizuje się w relacjach sportu i polityki międzynarodowej. Publikuje m.in. na łamach „Wprost”, „Forbesa” oraz portalu TVN24.



MATEUSZ LACHOWSKI

Dziennikarz i reżyser.
Korespondent Polsat News w Ukrainie,
współpracownik tygodnika „Newsweek”



„Smród, błoto i depresja”. Wojna, jakiej nie widać w telewizji

„Zbrodnie wojenne”, „ludobójstwo”, „terrorizm”. Mediom brakuje już określeń, by opisać wydarzenia, które od 24 lutego 2022 roku targają Ukrainą i szokują świat – przynajmniej ten zachodni. Barbarzyństwo Rosjan z bliska obserwuje korespondent Polsat News w Ukrainie, Mateusz Lachowski. „Psy nie robią sobie takich rzeczy, jak ludzie. Jesteśmy okropnym gatunkiem” – mówi.

Michał Banasiak:
Wojna pochłania człowieka doszczętnie?

Mateusz Lachowski:

Wojna to jest klęska żywiołowa. Najgorsza możliwa, bo toczy się cały czas. Huragan czy powódź przyjdą i po paru godzinach, może dniach, odchodzą. A wojna trwa. Na froncie o długości nawet 3000 kilometrów cały czas ktoś jest zabijany, torturowany, gwałcony, rabowany. Wojna oplata cię całego. Widzisz ją, słyszysz i czujesz. Działa na wszystkie zmysły. Wojna to smród, błoto, lęk i depresja. Wszechobecna krew, zapach ciał.



W relacjach wieczornych jest więcej miejsca na opowiedzenie faktycznego obrazu wojny, ale to wciąż tylko opowieść. Może być najlepsza, ale nie przekazuje wojennej rzeczywistości.

W mediach widzimy uładzony obraz wojny. Taki „do kotleta”. Są czotgi, błyski, biegający żołnierze.

Media rządzą się swoimi prawami. Trzeba przekazać skondensowaną informację, często bez emocji. Zwłaszcza w dzień, gdy telewizję mogą oglądać dzieci, nie można mówić o pewnych rzeczach. W relacjach wieczornych jest więcej miejsca na opowiedzenie faktycznego obrazu wojny, ale to wciąż tylko opowieść. Może być najlepsza, ale nie przekazuje wojennej rzeczywistości. Nie wystarczy obejrzeć zdjęć, przeczytać dobrego artykułu czy książki, żeby zrozumieć, jaka to tragedia.

Miesiące spędzone wśród żołnierzy, chodzenia w kamizelce kuloodpornej, ciągłej obecności huku i alarmów przeciwlotniczych to wystarczająco dużo, żeby się do wojny przyzwyczaić?

Nie. Dalej nie i jeszcze długo, długo nie. Jeśli w ogóle da się do tego przyzwyczaić. Można przyzwyczaić się do jakichś elementów wojny, np. do ostrzału. To już nie robi takiego wrażenia, jak na początku. Oczywiście nadal człowiek instynktownie się wzdyga, odskakuje, ale nie ma już takich obaw, bo wiadomo, co się z ostrzałem wiąże. Ale do wojny jako całości nie przywykłem. Można powiedzieć, że nauczyłem się z nią żyć.

Co w tej wojennej rzeczywistości jest dla Ciebie najtrudniejsze?

Wiszące nad głową widmo straty przyjaciół. To może nastąpić w każdej chwili. Nigdy nie wiesz, kiedy widzisz kogoś po raz ostatni. Każde spotkanie

może być pożegnalnym i chociaż to jest moją smutną codziennością, to nie mogę przyzwyczaić się do regularnej utraty przyjaciół i znajomych. Pod koniec listopada byłem na pogrzebie znajomego żołnierza, Barsa. To nie pierwszy i pewnie nie ostatni pogrzeb, w którym uczestniczyłem, ale ten był wyjątkowo poruszający. Ceremonia w obrządku greckokatolickim trwała długo. Trumna była otwarta, wokół mnóstwo ludzi. Rodzina, bliscy, ale też towarzysze broni. Silni, postawni faceci ronili łezkę. Mnie też się udzieliło, bo to był żołnierz, z którym pierwszy raz byłem na froncie. Bardzo się wtedy bałem, bo to był sam początek, przełom lutego i marca. A on totalnie się nie bał.

Jak zginął?

Wjechali na minę. Nagła, niespodziewana – nawet w warunkach wojennych – śmierć. Żołnierze mówili o nim, że jest bezsmiertelny, nieśmiertelny. Ale to okazało się złudne. Na tym pogrzebie przypomnieli mi się taka scenka: gdy raz byłem z Barsem, odszedł na kilka metrów, żeby porozmawiać przez telefon z żoną i dziećmi, bo akurat złapał zasięg. Na co dzień twardy, zasadniczy gość, który wszystkich rozstawiał, był w tej rozmowie uśmiechnięty i czuły. Nie żołnierz,



Mimo wielu ostrzałów, są miejsca, gdzie żyje się w trybie zbliżonym do normalności. Oczywiście w strachu, w lęku, ale bez rakiet spadających za oknem. Są też miejsca, gdzie się w zasadzie wegetuje licząc, że uda się dożyć kolejnego dnia.

a po prostu kochający mąż i ojciec. I teraz te dzieci zostały same z mamą. Żona obejmowała trumnę, nie mogła się pogodzić ze stratą.

Wiele czasu spędzasz z żołnierzami i to na linii frontu. Oni też nauczyli się już nowego, wojennego życia?

Widziałem na wiosnę Gruzina, który przyjechał na Ukrainę walczyć. Był na wojnie w Gruzji i był nabuzowany, żeby znowu stawić czoła wrogowi. Przyszedł pierwszy zmasowany ostrzał i ten Gruzin przeczekiwał go, leżąc w błocie. Cały, razem z głową. I chociaż inni mówili potem, że to był ostrzał, jakich wiele, on powiedział, że narodził się na nowo. Przeżył jedną wojnę, ale to nie przygotowało go na kolejną. Zresztą jeden z polskich ochotników powiedział mi, że nie da się na coś takiego ani przygotować, ani tego opowiedzieć. Zwłaszcza, gdy mowa o samym froncie. Weźmy na przykład Sołedar. 40-50 dni

po kolana w wodzie i w błocie. W klatce, gdzie jest grzyb na ścianie. Cały czas musisz być czujny. Z ciemnej piwnicy wychodzisz tylko za potrzebą. I jeszcze odwlekasz moment wyjścia, bo masz świadomość, że czas spędzony na zewnątrz to najbardziej niebezpieczne minuty w ciągu doby.

Przejechałeś od lutego 2022 roku kilkanaście tysięcy kilometrów po Ukrainie. Od granicy do granicy. Byłeś na froncie i w tych spokojniejszych miejscach. Da się tam gdziekolwiek wieść normalne – czy choćby w miarę normalne – życie?

Ukraina wyglądała w tym okresie bardzo różnie. Mimo wielu ostrzałów, są miejsca, gdzie żyje się w trybie zbliżonym do normalności. Oczywiście w strachu, w lęku, ale bez rakiet spadających za oknem. Są też miejsca, gdzie się w zasadzie wegetuje licząc, że uda się dożyć kolejnego dnia. Ale mimo to niektórzy nie chcą wyjeżdżać. Jak cywile z Sołedaru. Nie chcą i już. Nie zmusisz ich. Mówią, że mają tam swój dom i się nie ruszą. I można by to zignorować, ale człowiek się irtuje, bo zostają z nimi dzieci. I mieszkają na przykład w piwnicy zrujnowanego domu. Kiedyś się zastanawiałem, jak ludzie funkcjonowali w czasie II wojny światowej. Teraz już wiem, bo widzę to na co dzień. Są tacy, którzy żyją blisko frontu i od miesięcy nie mają prądu ani wody.

Co w tym zróżnicowanym krajobrazie najbardziej Cię uderza?

Jechaliśmy z operatorem z obwodu charkowskiego do Kijowa. W miarę spokojny dzień, w miarę normalna droga. Wyjeżdżamy z lasu i nagle scena jak z filmu: krajobraz całkiem zwyczajny i jedna wioska całkowicie zniszczona. Ale doszczętnie, do imentu. Porozrzucone ciała, przewracane drzewa, ani jednego całego domu. Mijamy ją, ujeżdżamy kawałek i znowu podobna wioska.

Wyzwolenie części ziem spod okupacji przyniosło mieszkańcom nieco wytchnienia?

Na pewno widziałeś nagrania, jak reagowali na ukraińskich żołnierzy. Ci ludzie czekali na wyzwolenie kilka miesięcy i nie da się opisać ich emocji. Ale też nie da się powiedzieć, że wszyscy mają taką samą postawę, bo są tacy, którzy zaraz po wyzwoleniu uciekają. Uciekają nie przed Ukrainą, ale przed wojną. Wcześniej tego nie robili, bo pod okupacją po prostu bali się podjąć próbę wyjazdu.

Kilka lat temu spotkałem w Warszawie mieszkańca Krymu, który powiedział mi: „Krym jest rosyjski. Chociaż właściwie mógłby być i ukraiński.

Mnie obojętne. Była praca była i na jedzenie dla dzieciaków”.

Spotykałem takich ludzi w Donbasie. Faktycznie jest im obojętne, w jakim kraju będą żyć. Chcą po prostu pokoju i normalnego życia. Nie każdy jest i nie każdy musi być patriotą. Ale dla wszystkich wojna jest tragedią.

Na front trafia też wielu zmobilizowanych cywilów rosyjskich. W tym tych, zamieszkujących ziemie ukraińskie.

W Sołedarze chłopaki pokazywali mi rosyjskie pozycje. Żołnierze dosłownie siedzą w ziemi. Jestem przekonany, że zamarzają, że po prostu robią pod siebie. Z perspektywy ukraińskiej to dobrze, bo wróg się osłabia, traci morale. Ale to przecież też są ludzie. Też znaleźli się w tej wojnie nagle, bo ich prezydent traktuje ludzi jak mięso.



Mam bardzo złe zdanie o kondycji człowieka. A politycy są tego najlepszym i zarazem najgorszym przykładem. Doprowadzili do tego, że jesteśmy zastraszeni bronią atomową. Europa i Stany są w strachu, bo mamy do czynienia z niestabilnym psychicznie człowiekiem i trudno przewidzieć, do czego się posunie. Tylko on nie pojawił się nagle.

Można powiedzieć, że „wojna” to wspólne hasło dla niezliczonej ilości pojedynczych tragedii?

Lekarz wojskowy i mój dobry kumpel powiedział mi w Bachmucie, że każdy człowiek to jeden świat. I ten świat się kończy, gdy człowiek umiera. Ten kumpel pięć miesięcy pracował na froncie: w Lisiczańsku i Siewierodonecku. Został ranny w głowę, gdy w czasie operacji zawałiła się jedna ze ścian i go przygniotła. Pacjentka, którą operował, zginęła. Rozmawiamy o ofiarach tej wojny zbiorczo. Patrzymy na statystyki, a zapominamy – albo nawet nie wiemy – o konkretnych tragediach.

Na przykład?

Do mediów przebijają się w zasadzie tylko te najmocniejsze wydarzenia. Mówimy o Buczy, o Borodziance, o Azowstalu. A ja jadę z operatorem z Sołedaru do Kijowa i w Iziom widzimy kobietę z dzieckiem. Powoli idzie przez zniszczone miasto, gdzie nie ma prądu. Zatrzymujemy się, żeby dać jej

jedzenie. Obserwuję jej wdzięczność, patrzę na to kilkuletnie bezbronne i niewinne dziecko i zastanawiam się, czemu to wszystko się dzieje? Czemu nie jesteśmy w stanie nic z tym zrobić? Wsiadam z powrotem do samochodu i jestem totalnie rozbity.

Widzisz to wszystko, przeżywasz razem z żołnierzami i cywilami. Masz świadomość, że każdy dzień wojny to dla tych ludzi piekło. A potem słyszysz lekceważące wypowiedzi polityków albo ich bezproduktywne rozmowy. Tak jakby przedłużanie się tej wojny nie miało znaczenia. Jak to oceniasz?

Na samym początku bardzo mnie to frustrowało. Teraz też denerwuje, ale zrozumiałem, że nic jestem w stanie nic zrobić. Każdy polityk, zanim zabierze głos w sprawie tej wojny, powinien przyjechać na miejsce i zobaczyć, jak to wygląda. Żeby potem nie było takich sytuacji, że jestem w Buczy, słucham opowieści mieszkańców o rosyjskich zbrodniach – o gwałtach, morderstwach, o strachu o każdy dzień, widzę kilkadziesiąt ciał, a potem słyszę z ust tego czy innego polityka, że Bucza to była ukraińska ustawka. Że też nikt nie powstrzyma takiego gadania. Nie podejdzie i, za przeproszeniem, nie da takiemu w mordę.

Wielu polityków odwiedziło Ukrainę i widziało to, o czym mówisz, na własne oczy. Mogłoby się wydawać, że powinno to wpłynąć na ich postrzeganie wojny. Zmienić ich nastawienie.

Jesteśmy okropnym gatunkiem. Psy mogą się o coś pogryźć, ale nie robią sobie takich rzeczy jak my, ludzie. Mam bardzo złe zdanie o kondycji człowieka. A politycy są tego najlepszym i zarazem najgorszym przykładem. Doprowadzili do tego, że jesteśmy zastraszeni bronią atomową. Europa i Stany są w strachu, bo mamy do czynienia z niestabilnym psychicznie człowiekiem i trudno przewidzieć, do czego się posunie. Tylko on nie pojawił się nagle. Przeraza i wkurza mnie, że przez lata przekraczał kolejne granice i nikt nic z tym nie robił. Była Czeczenia, Gruzja – tam też robił straszne rzeczy. Ale musiał przekroczyć Rubikon, stanąć pod naszymi drzwiami, żeby niektórych nasza refleksja. To wystawia okropne świadectwo ludzkości.

Im dłużej trwa wojna i im dalej od frontu, tym trudniej zainteresować ludzi losom Ukrainy.

Jest w nas, ludziach, jakieś przekonanie, że jak rodzimy się i wychowujemy w szklarnianych warunkach, to uważamy się za lepszych. A przecież to, że nie urodziłem w kraju ogarniętym dziś wojną, że zdobyłem wykształcenie, że nie musiałem chodzić głodny, to nie jest moja zasługa, tylko losu. Niektórzy o tym zapominają. Dla nich dziecko z Ukrainy jest mniej

ważne niż to z Niemiec, Hiszpanii czy USA.

Nie masz pokusy, by powiedzieć „pas”? By już więcej tam nie wrócić?

Jestem już bardzo zmęczony. Gdy co jakiś czas przyjeżdżam do Polski, wyłączam telefon i nie śledzę doniesień z Ukrainy. Muszę odpocząć. Ale pogrzyb Barsa uświadomił mi, że ja tam będę do końca wojny. Czułbym się źle sam ze sobą, gdybym teraz się zatrzymał. Patrzę na tych żołnierzy, na tych cierpiących ludzi i myślę, że nie mam prawa ich zostawić. Czuję wobec nich powinność. Jestem korespondentem i chcę pokazywać dramat tych ludzi. Nie mam z tego radości, ale mam satysfakcję.

Czujesz, że Ukraińcy Cię potrzebują?

Oni chcą, by świat wiedział, co robi Rosja i jakie mają warunki. Mają poczucie, że nikt tego nie wie, nie docenia. Na tym etapie udało mi się już nawiązać z niektórymi przyjacielskie relacje. Dzwonią czasem sami i chcą, żebym po prostu ich odwiedził. Zresztą na tym ostatnim pogrzebie spotkałem wielu znajomych żołnierzy i byli bardzo wdzięczni, że ich nie opuściłem. Traktują mnie jak swojego. Cieszą się, że jestem z nimi. To załatwia mi poczucie sensu na jakiś czas. Do tego mam w sobie taką żółć, wyhodowaną na początkowym poczuciu, że faktycznie coś zmienię, że mam wpływ. Teraz wiem, że ten wpływ jest bardzo ograniczony, ale ta bezradna złość w jakiś sposób mnie napędza.

AMB.

JAN**PIEKŁO**Ambasador RP
na Ukrainie w latach 2016 - 2019

Sojusz? Unia? Federacja? Co dalej z relacjami Polski i Ukrainy?

„Na stole, gdzie tak często leżał karabin, został położony chleb” – mówił o nowym rozdziale polsko-ukraińskiej historii prezydent Andrzej Duda. Wspólna sprawa, jaką jest wygrana w wojnie z Rosją, pozwala skupić się na teraźniejszości i snuć plany o wspólnej przyszłości. Jednak i demony przeszłości co jakiś czas dają o sobie znać. „Powinniśmy odrobić lekcje z tego, co kiedyś nam nie wyszło: pomysłu federacyjnego marszałka Józefa Piłsudskiego” – mówi Jan Piekło, były ambasador RP na Ukrainie.

Michał Banasiak:

Możemy dziś jednoznacznie stwierdzić, że stosunki polsko-ukraińskie są najlepsze w historii?

Amb. Jan Piekło:

Tak, stosunki polsko-ukraińskie nigdy nie były tak dobre, jak teraz. W chwili zagrożenia naszego bezpieczeństwa – i Ukrainy, i Polski – stały się harmonijne i wręcz doskonałe. Przerabialiśmy podobny scenariusz w 1920 roku, gdy doszło do sojuszu atamana Petlury i marszałka Piłsudskiego. Wówczas wspólnie walczyliśmy o wyzwolenie Kijowa, a potem Ukraińcy wsparli nas w Bitwie Warszawskiej, także podczas obrony Zamościa. Teraz znowu połączyła nas wspólna sprawa, bo tocząca się wojna jest zagrożeniem również dla Polski.

Prezydent Polski jest owacjami witany w ukraińskim parlamencie, Polacy zapraszają do swoich domów miliony Ukraińców. To chyba już coś więcej, niż tylko sojusz przeciwko wspólnemu wrogowi.

Te relacje są znakomite właściwie na każdym poziomie – politycznym, gospodarczym, społecznym, kulturowym. Chciałbym, żebyśmy wykorzystali ten moment i stworzyli wspólną narrację dla naszej przyszłości. Mogłyby to być dzieła filmowe czy literackie, nawiązujące do polsko-ukraińskiej przyjaźni, braterstwa broni. Do tych wydarzeń nam współczesnych i tych nieco starszych, bo przecież w naszej historii dobrych epizodów nie brakowało.



Nie można doprowadzić do tego, żeby Wołyń zdominował rozmowy o wspólnej historii. Niektórzy uważają, że mamy najlepszy moment, by w rozmowach z Ukrainą poruszać ten temat. A to jest najgorszy moment.

Są jednak i ciemne karty polsko-ukraińskiej historii, eksponowane teraz przez niektóre środowiska.

Incydenty wymierzone w poprawność naszych stosunków niestety się zdarzają. Mamy nawet pewne ugrupowanie w Sejmie, które nie stoi po stronie wspólnych racji, a raczej ustawia się bliżej Rosji. To oczywiście margines całej dyskusji, ale z tych rzucanych tam kamyczków mogą się tworzyć lawiny, czy może bardziej „lawinki”, uderzające w polsko-ukraińskie relacje. Charakter tych relacji się od tego nie zmieni, ale trzeba mieć świadomość, że niektórzy czają się i czekają na dogodny moment, by znów zaatakować.

Antyukraińska narracja wynika Pana zdaniem wyłącznie ze złej woli, czy może niewiedzy, albo po prostu ze zwyczajnych obaw?

To wszystko się ze sobą przeplata. Rosjanie wykonują krecią, dezinformacyjną robotę, dając paliwo obawom i niepewności. Trafiają na podatny grunt tam, gdzie brakuje wiedzy. Można by więc powiedzieć, że przydałaby się rzetelna i kompleksowa edukacja o wspólnej, trudnej historii. Przydałaby się tutaj jakaś fabularna ekranizacja, np. zdobycia Kijowa czy wspólnego udziału w Bitwie Warszawskiej. To właściwie aż zadziwiające, że do kwestii UPA i Wołynia sięga się mocno i stanowczo, a wspólna polityka Piłsudskiego i Petlury nie jest tak szeroko znana.

Film „Wołyń” rzeczywiście odbił się w Polsce głośnym echem. Uważa Pan, że nie powinniśmy w relacjach z Ukrainą podnosić tematu Wołynia?

Nie można doprowadzić do tego, żeby Wołyń zdominował rozmowy o wspólnej historii. Niektórzy uważają, że mamy najlepszy moment, by w rozmowach z Ukrainą poruszać ten temat. A to jest najgorszy moment. Zwłaszcza, że te najbardziej przebijające się głosy są zerojedynkowe. Tymczasem narracja o Wołyniu wymaga perspektywy. Ta okrutna i bestialska rzeź rozegrała się na terytorium, którego nie kontrolowali ani Polacy, ani Ukraińcy. To był obszar zmagania między Sowietami a Niemcami. W interesie obu tych stron było niedopuszczenie do porozumienia się Polaków i Ukraińców i wspólnego wystąpienia UPA i AK przeciwko czy to bolszewikom, czy Niemcom. Zachowały się dowody na rozmowy polskiego rządu na uchodźstwie z Ukraińcami, właśnie odnośnie współpracy. I taki kontekst już zmienia optykę. A wiele dokumentów dotyczących tego dramatu wciąż nie zostało ujawnionych. Bez pełnej wiedzy historycznej nie zrozumiemy wszystkich okoliczności tego dramatu.

Z oburzeniem w Polsce spotykają się też doniesienia o honorach dla Stepana Bandery czy pojawianie się w ukraińskiej przestrzeni publicznej – również w czasie wojny – czarno-czerwonych flag.

UPA jest symbolem oporu Ukraińców przeciwko sowietyzacji, przeciwko komunistom i Armii Czerwonej. Podziemie niepodległościowe w Polsce zostało dość szybko zlikwidowane przez Sowietów, a z podziemiem ukraińskim NKWD miało duże problemy aż do wczesnych lat 60. XX wieku. To miało potem straszliwe skutki, bo większość tych ukraińskich działaczy niepodległościowych została wymordowana albo zesłana na Syberię. Jesteśmy

trochę niesprawiedliwi w ocenie tego wszystkiego.

Ukraińcy wypominają też Polakom akcję „Wisła”.

Akcja była rodzajem sowiecko-peerełowskiego odwetu za Wołyń. To czystka etniczna, gdzie Ukraińców przesiedlano na tzw. ziemie odzyskanie, czyli północ i zachód. No i to jest fakt, że byli traktowani jako element niebezpieczny. Byli obywatelami trzeciej kategorii, co do jakiegoś stopnia przypominało czasy sanacji. Wtedy mieli co prawda swoją delegację w Sejmie, ale w odbiorze społecznym byli obywatelami niższej kategorii.



Polityka Brukseli nie zakładała członkostwa. Tego chciała Warszawa, ale nie zachodnie stolice. Teraz wojna sprawiła, że Ukraina wymusiła na Unii status kandydata.

Na poziomie publicystycznym i eksperckim rozważane są dziś pomysły polsko-ukraińskiego zbliżenia: sojuszu strategicznego, unii, a nawet federacji. Jak Pan je ocenia?

Takie dyskusje mają na celu skłonienie naszych sojuszników z zachodu Unii Europejskiej, żeby zaczęli myśleć, jak bardziej można pomóc Ukrainie. To ma swoje zadanie polityczne. Co do federacji, czy stworzenia wspólnego państwa, myślę że to nie jest moment, żeby o tym mówić na poważnie. Natomiast jest pewna konstrukcja krążąca wśród polityków rumuńskich, żeby Mołdawia – kraj rumuńskojęzyczny, zamieszkaany przez wiele osób posiadających obywatelstwo Rumunii – została przez Rumunię inkorporowana. Oczywiście za zgodą samych Mołdawian. Takich ruch miałyby chronić Mołdawię, która formalnie stałaby się częścią Unii Europejskiej i NATO. Tak jak kiedyś stało się z Niemcami Wschodnimi.

A jak Ukraina zapatruje się na takie propozycje?

Ukraina jest zajęta przede wszystkim wojną. Ukraińcy bardzo doceniają rolę Polski i są nam wdzięczni za pomoc. Sądzę, że pomysł nie tyle wspólnego organizmu, ale rodzaju sojuszu czy unii z Polską, z pewnością nie jest dla nich myślą odrażającą. Dokładnej formuły jeszcze nie ma, ale zbieżność interesów jest oczywista. Na korzyść takiego projektu przemawiają też oczywiście geografia i duża grupa Ukraińców mieszkająca w Polsce. Choć priorytetem z pewnością pozostaje dla Ukrainy członkostwo w Unii i NATO.

Na razie Ukraina otrzymała status kandydata do Unii. To dobry ruch?

Ukraińcy nie byli tak zadowoleni z Partnerstwa Wschodniego. Uruchoimiło ono pewne procesy, ale polityka Brukseli nie zakładała członkostwa. Tego chciała Warszawa, ale nie zachodnie stolice. Teraz wojna sprawiła, że Ukraina wymusiła na Unii status kandydata. Pracowałem na Ukrainie i znam tamtejsze realia. Ukraina jest lepiej przygotowana niż Serbia, która od 2012 roku jest kandydatem na członka UE.

Podobnie jest z NATO?

Dla nich to oczywiste, że powinni w krótkim czasie zostać członkiem Sojuszu. Są dumni ze swojej armii i mają świadomość, że to obecnie jedna z najpotężniejszych armii w Europie, z bezcennym doświadczeniem bojowym. W kilka lat wyszkolili ją oficerowie NATO, a teraz udowodniła światu, że jest skuteczna. Również dla samego NATO taki członek byłby darem z nieba. To armia, która zna doskonale przeciwnika, ma świetny wywiad, wiedzę na temat metodologii i psychologii działania Rosjan. Polska jak lobbowała, tak dalej lobbuje na rzecz członkostwa Ukrainy w UE i w NATO.



Środek ciężkości, jeśli chodzi o prowadzenie polityki w kwestii wojny, przesuwa się z Berlina i Paryża w kierunku Polski, krajów bałtyckich, Rumunii i potencjalnych nowych członków NATO – Szwecji i Finlandii.

Robił to już prezydent Lech Kaczyński na szczycie NATO w Bukareszcie w 2008 roku. Natomiast widzimy, że zarówno Francja, jak i Niemcy będą sceptyczne wobec starań Ukrainy o dołączenie i do Unii, i NATO.

Skąd ten sceptycyzm?

To zagraża ich pozycji politycznej w Europie. Niemcy zaczynają zdawać sobie z tego sprawę i zmienia się ich retoryka. Ursula von der Leyen mówi, że należało słuchać Polski. Kanclerz Scholz to potwierdza. Sytuacja geopolityczna w Europie jest porównywalna z wielkim trzęsieniem ziemi. W wyniku wojny ulega dekompozycji geopolityczny projekt Unii Europejskiej, na której ciąży nieskuteczna polityka francuska i niemiecka wobec Rosji. Środek ciężkości, jeśli chodzi o prowadzenie polityki w kwestii wojny, przesuwa się z Berlina i Paryża w kierunku Polski, krajów bałtyckich, Rumunii i potencjalnych nowych członków NATO – Szwecji

i Finlandii. To stwarza nową dynamikę. Unijne decyzje polityczne, które do tej pory zapadały w Niemczech i we Francji, teraz mogą zapadać gdzie indziej. Do tego mamy Wielką Brytanię, która po brexicie próbuje stworzyć sobie silną pozycję w polityce europejskiej.



Teraz obserwujemy pewną wariację pomysłu Piłsudskiego. Sojusz – formalny bądź nie – krajów bałtyckich, nordyckich, Czech, Słowacji, Rumunii. Za filar bezpieczeństwa mogłaby posłużyć Bukaresztańska Dziewiątka – z wyjątkiem wyłączających się ze wspólnoty Węgier – i Finlandia oraz NATO. Trójmorze mogłoby być dopełnieniem ekonomicznym.

Jeszcze przed wojną narodził się projekt współpracy Wielka Brytania – Polska – Ukraina. Nie zostało to wówczas wypełnione treścią, ale teraz zaczyna się samo wypełniać. Może przed nami jest moment przełomu, takiego jak Wersal czy Jałta. Niedawno spotkałem się ze stwierdzeniem, że to co się dzieje na wschodzie, to unieważnienie Jałty. Że Ukraina wraca do Zachodu i będzie odgrywać ogromną rolę polityczną w nowej konstrukcji.

Skoro wiesz Pan wewnątrzunijne przesunięcie sił, co powinny robić kraje Europy Środkowo-Wschodniej, w tym Polska, by wyjść na tym możliwie najlepiej?

Powinniśmy odrobić lekcje z tego, co kiedyś nam nie wyszło: pomysłu federacyjnego marszałka Józefa Piłsudskiego. Ten pomysł zakładał sojusz z Ukrainą, Białorusią, Litwą. Zakładał, że można zbudować blok antysowiecki. Ścianę frontową dla Polski. To się nie udało w wyniku presji Narodowej Demokracji i w Rydze w 1921 roku został podpisany traktat, który właściwie oddawał Rosji sowieckiej dużą część Ukrainy. Teraz obserwujemy pewną wariację pomysłu Piłsudskiego. Sojusz – formalny bądź nie – krajów bałtyckich, nordyckich, Czech, Słowacji, Rumunii. Za filar bezpieczeństwa mogłaby posłużyć Bukaresztańska Dziewiątka – z wyjątkiem wyłączających się ze wspólnoty Węgier – i Finlandia oraz NATO. Trójmorze mogłoby być dopełnieniem ekonomicznym. Zarysowałby się nam sensowny projekt geopolityczny.

A jest on nam potrzebny?

Wojna na Ukrainie to już nie jest tylko wojna lokalna, ale szerszy konflikt. Stroną w tej wojnie zaczyna być i Iran, który wspiera zbrojnie Rosję, i Korea Północna, która jest swego rodzaju forpcztą Pekinu. To by

świadczyło, że konflikt się rozszerza i nie jesteśmy w stanie przewidzieć, w którą stronę pójdzie. Tymczasem już widać, że Europa Środkowo-Wschodnia i Zachodnia mają różne podejście co do tego, jaki koniec tej wojny byłby pożądanym z punktu widzenia bezpieczeństwa i przyszłych relacji z Rosją. Zachodnie stolice, w tym część elit politycznych Waszyngtonu, obawiają się rozpadu Federacji Rosyjskiej, bo to mogłoby wywołać długotrwałe perturbacje i trudność w ogarnięciu powstającego tam chaosu. Obawiają się rebeliantów, którzy mogliby wejść w posiadanie broni jądrowej – choć to nie jest takie proste. Na tym etapie to trochę wróżenie z fusów, ale przyszłość Rosji nieuchronnie kroczy w kierunku rozpadu tego państwa. Ben Hodges, były dowódca wojsk amerykańskich NATO w Europie i Janusz Bugajski z The Jamestown Foundation od dawna o tym mówią i piszą. To prawdopodobny scenariusz, który stworzyłby nową sytuację. Do tej nowej sytuacji należy być jak najlepiej przygotowanym, żeby móc rozgrywać karty, a nie być rozgrywanym.

GEN. BRONI REZ. DR

MIROSŁAW RÓŻAŃSKI

Były Dowódca Generalny Rodzajów Sił
Zbrojnych, prezes Fundacji Bezpieczeństwa
i Rozwoju STRATPOINTS



Cena bezpieczeństwa. Jakich armii i jakich sojuszy potrzeba Europie?

Rosyjska napaść na Ukrainę spowodowała renesans NATO. Do Sojuszu mają wkrótce dołączyć Szwecja i Finlandia, a obecni członkowie deklarują, że zaczną wypełniać sojusznicze deklaracje dotyczące przekazywania pieniędzy na obronność. Czy zwiększenie finansowania wystarczy, by zagwarantować Europie bezpieczeństwo? Czy Unia Europejska powinna na poważnie zająć się tematem wspólnej armii? Na te pytania odpowiada gen. broni rez. dr Mirosław Różański, były Dowódca Generalny Rodzajów Sił Zbrojnych.

Michał Banasiak:

Europejczycy latami mogli sądzić, że wojna bezpośrednio ich nie dotyczy. Owszem, wciąż gdzieś się toczy: a to na Bliskim Wschodzie, w Afryce, na Kaukazie. Ale Europa? Wydawało się, że ona jest od wojny wolna, że tu wszystko da się załatwić dyplomacją. Tymczasem wojna zapukała do naszych drzwi, burząc pokój i spokój. W odruchu obronnym państwa europejskie ruszyły więc na zakupy zbrojeniowe. To słuszny kierunek?

Gen. Mirosław Różański:

Deklarowane zakupy państw europejskich są imponujące. Słychać, że na obronność będzie się teraz przeznaczać większą część PKB, że kraje NATO nie będą już się uchylać od 2 proc., a w Polsce to może być nawet i 5 proc. Ale wydawanie coraz większych pieniędzy to nie wszystko. Bezpieczeństwo narodowe powinno być rozpatrywane perspektywicznie. To szachy, a nie chińczyk. Przejmując dowodzenie nad Dowództwem Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych mówiłem, że będę chciał przygotować wojska do działań, które mogą zaistnieć w przyszłości, a nie do tych, które już były. I uważam, że nadal trzeba myśleć w ten sposób. Nie zgodzę się, że my nie mamy czasu i trzeba stawiać na szalone zakupy. Wiem, to brzmi kontrowersyjnie, ale wojna, która się toczy daje nam czas.



Dotarło do nas, że zagrożenie wojną nie minęło. Dlatego rządy decydują się na wydawanie większej ilości pieniędzy i mają na to przyzwolenie społeczne. W Europie budowany jest system bezpieczeństwa, który ma spowodować, że Rosja nie będzie już tak śmiała. Wiele państw, w tym Polska, idzie w ilość.

To jak wobec tego należałoby go spożytkować?

Nie powinniśmy zamykać się tylko na kwestie zakupów, bo ten konflikt ma kilka odsłon. Zagraża naszemu bezpieczeństwu energetycznemu, Rosja straszyla nas klęską głodu. Do tego dochodzą zagrożenia cybernetyczne, które w państwach bałtyckich dały o sobie znać jeszcze przed inwazją na Ukrainę. To są zagrożenia niemilitarne, używane synchronicznie ze środkami militarnymi.

Tych niemilitarnych przybywa, ale – co pokazuje Ukraina – militarne nie tracą na znaczeniu.

Do niedawna o wojnie mówiliśmy myśląc o jej wymiarze kinetycznym, czyli samolotach, raketach, czołgach,

artylerii. Teraz w dokumentach strategicznych USA, Rosji czy Chin, czyli tych największych graczy, pojawiają się inne wymiary: cyberprzestrzeń, kosmos, biegun północny. Towarzyszy temu wojna informacyjna, która dosięgła np. wyborów w Stanach Zjednoczonych. Dziś zastanawiamy się też, na ile Rosja wpłynęła na brexit. Paleta zagrożeń jest ogromna, a państwo musi odpowiadać i na te militarne, i niemilitarne wszystkimi możliwymi siłami i środkami, jakimi dysponuje. Na tym polega dbałość o bezpieczeństwo narodowe.

Jednym z tych środków jest modernizacja i rozbudowa armii.

W tym upatruje się zdolności do zabezpieczenia przed ewentualnymi kolejnymi wydarzeniami, podobnymi do rosyjskiej agresji. Mówi się, że Rosja wspiera działania o charakterze terrorystycznym. Ja uważam, idąc za słowami prezydenta Zełenskiego, że Rosja jest państwem terrorystycznym. Sposób prowadzenia przez nią wojny nie mieści się w żadnych konwencjach i prawach przyjętych przez środowisko międzynarodowe. Konsekwencją jej działań jest nasycanie zdolności militarnych krajów europejskich. Dziś nikt nie ma wątpliwości, że zagrożenie dla Europy pochodzi właśnie z Rosji, a wojna za naszą granicą działa na wyobraźnię wszystkich: i polityków, i obywateli. Dzięki powszechności mass mediów widzimy te obrazy, obserwujemy relacje z grozy o wymiarze ludobójstwa. Dotarło do nas, że zagrożenie wojną nie minęło. Dlatego rządy decydują się na wydawanie większej ilości pieniędzy i mają na to przyzwolenie społeczne. W Europie budowany jest system bezpieczeństwa, który ma spowodować, że Rosja nie będzie już tak śmiała. Wiele państw, w tym Polska, idzie w ilość. Słyszymy dziś, że mamy renesans czołgów, artylerii. Nie do końca się zgadzam, bo akurat pojedynkę artyleryjski Rosji i Ukrainy pokazuje, że tradycyjne spojrzenie na artylerię trzeba zrewidować. Uważam, że wojna w Ukrainie pokazała, że dziś należy stawiać przede wszystkim na zaawansowane technologicznie systemy uzbrojenia.

Czeka nas nowy wyścig zbrojeń?

Technologia wojskowa jest dziś wysoce rozwinięta. Wykorzystywana w armatach amunicja Excalibur trafia z precyzją do dwóch metrów. Bezzałogowce mogą przez kilka dni utrzymywać się w powietrzu i zbierać informacje. System AWACS śledzi każdy ruch na polu walki, w jego obrębie i poza linią horyzontu. Amerykanie rozpatrują ofertę Boeinga, który ze szwedzkim Saabem i partnerami wyprodukował rakieto-bombę, precyzyjnie rażącą na odległość

150 kilometrów. Trzeba w to inwestować, żeby przeciwnik nie zbudował nad nami przewagi.

Polska inwestuje bardzo dużo.

Nasze zakupy i deklaracje kolejnych są spektakularne. Kwotowo i ilościowo. Abrams to rewelacyjny czołg. Koreański K2 również. Ale dozbrajanie naszej armii odbywa się bez udziału naszego sektora zbrojeniowego. Nie współprodukujemy tego sprzętu u siebie, ani nie mamy możliwości serwisowych. A to jest bardzo ważne z wojskowego punktu widzenia. Spójrzmy na Ukrainę. Sprzęt jest tam uszkodzany, są awarie. I teraz mielibyśmy wysłać go do serwisów w Stanach czy Korei? Wykonalne, ale logistycznie – zwłaszcza w czasie wojny – bardzo trudne. Poza tym silny przemysł i solidne zaplecze finansowe to też są fundamenty i gwarancje naszego bezpieczeństwa...

...bo utrzymanie tego zakupionego sprzętu będzie nas dużo kosztować.

Do tego amunicja. Niezwykle skomplikowana technologicznie i niezwykle droga. Mówimy o 316 czołgach amerykańskich, prawie 1000 koreańskich, ale nie rozmawiamy o kosztach amunicji w trakcie eksploatacji tego sprzętu przez 30-40 lat. Zamawiamy 96 rewelacyjnych śmigłowców Apacz, ale bez dokupienia Hellfire'ów [kierowanych pocisków raketowych – przyp. red.], nie będą spełniały swojej funkcji bojowej. HIMARS-y. Chcemy kupić 200, może 500 wyrzutni. Tyle że pociski dalekiego zasięgu, żeby je uzbroić, kosztują po 1,4 mln złotych za sztukę. Przemnożmy to teraz przez liczbę wyrzutni. Jednorazowy wydatek na zakup sprzętu nie wystarczy, jeśli potem nie będzie nas stać na jego używanie.

Dywersyfikacja dostawców to dobry pomysł?

Według mnie to nie dywersyfikacja, a brak spójności. Tak jakby decyzje o kolejnych zakupach były podejmowane w oderwaniu od potrzeb wojskowych. Najpierw ściągamy sprzęt, a potem wymyślamy mu zadania. To odwrócenie wojskowej logiki. Kupujemy świetne czołgi, ale Abramsy są niekompatybilne z K2. Na polu walki to wszystko musi ze sobą współgrać. Do tego pod każdą maszynę trzeba osobnego przeszkolenia kadry i zaplecza logistycznego.

Wiele państw próbuje samemu budować siły bezpieczeństwa. Trzeba dbać o swoje i nie oglądać się na innych czy może skuteczniej byłoby podzielić się zadaniami w ramach sojuszu, np. NATO?

Kraje, które chciały być samodzielne w kwestiach

bezpieczeństwa, czyli Szwecja i Finlandia, podjęły decyzję o dołączeniu do NATO. W poszczególnych państwach, w tym w Polsce, mamy narrację, że należy budować nasze własne zdolności. To jest zgodne z art. 3 traktatu waszyngtońskiego i w pełni zrozumiałe. Tylko odnoszę wrażenie, że dążymy do jakiegoś rodzaju autonomii. A przecież nie jesteśmy w stanie uniezależnić się wojskowo od NATO, bo kraje mają zróżnicowane potencjały i możliwości. Członkiem NATO jest np. Czarnogóra, która ma armię mniejszą niż u nas niegdyś rozwinięte brygady. Została przyjęta, bo jest ważna dla Sojuszu z uwagi na swoje geopolityczne położenie, ale wojskowo nie byłaby w stanie sama się obronić. My nie posiadamy lotnictwa transportowego o zdolnościach strategicznych. Nie posiadamy też samolotów do tankowania w powietrzu i nie stać nas na to, by je zakupić. Dlatego mamy NATO i Unię Europejską. Naszą ogromną korzyścią na polu bezpieczeństwa i w kwestiach gospodarczych jest członkostwo w tych dwóch elitarnych klubach.



Odnoszę wrażenie, że dążymy do jakiegoś rodzaju autonomii. A przecież nie jesteśmy w stanie uniezależnić się wojskowo od NATO, bo kraje mają zróżnicowane potencjały i możliwości.

Pana zdaniem powinniśmy na poważnie zająć się dyskusją nad wspólnymi siłami zbrojnymi Unii Europejskiej?

Uważam, że tworzenie wspólnych struktur – czy to brygad, czy batalionów – to nie jest dobry kierunek. Tak podpowiada mi doświadczenie z procesu formowania Grup Bojowych Unii Europejskiej, w którym brałem udział. Tworzyliśmy te Grupy przez rok, ponosiliśmy gigantyczne koszty, a one i tak nigdy nie zostały aktywowane.

To chyba dobrze, że nie było takiej potrzeby.

Dobrze, że nie było potrzeby, ale były też wątpliwości co do ich przydatności. Poszczególne armie zbyt różnią się od siebie, nie są wystandaryzowane, żeby to zadziałało. Od batalionów w dół wszystko powinno leżeć w gestii poszczególnych krajów – to element gwarancji bezpieczeństwa. Natomiast można dywagować nad wspólnymi organami dowodzenia, jak np. Eurokorpus w Strasburgu. Oprócz niego można by utworzyć 3-4 dowództwa dywizji o charakterze międzynarodowym. Coś na kształt tego natowskiego, które mamy w Elblągu.

Czyli wspólna armia nie, ale wspólne oddziały i bliska współpraca tak?

Unia Europejska uruchomiła Europejski Fundusz Obrony, naruszony przez okres pandemiczny. Do tego stała współpraca strukturalna, czyli PESCO, zasadzająca się na przyjmowaniu wspólnych programów w zakresie bezpieczeństwa. Ton nadają tam Francja i Niemcy, ale na tej bazie można budować zdolności unijne. Wykaz tych projektów jest imponujący – kilkadziesiąt wspólnych pozycji.



Najważniejsze, by żołnierze z różnych państw się rozumieli, mieli jedne procedury i systemy walki. Wtedy można by używać logistyki z różnych krajów, co skracałoby np. czas dostaw.

Nie da się tego załatwić od ręki, ale gdyby była wola całej Unii, w końcu udałoby się stworzyć wspólne procedury i zbudować dobrze kooperujące jednostki. Tak jak w przypadku NATO.

W NATO do tej pory borykamy się z pewnymi przeszkodami w zakresie płynnej współpracy. Jeśli ktoś myśli na przykład, że istnieje wspólny natowski system dowodzenia, to rozczaruję: nie istnieje. Struktury organów dowodzenia armii amerykańskiej, brytyjskiej, niemieckiej czy polskiej różnią się. Procedury związane z działaniami bojowymi też są odmienne. Gdy w czasie ćwiczeń Anakonda w 2016 roku chcieliśmy wykonać wspólny zrzut bomb przez samoloty amerykańskie i polskie, przy jednoczesnej pracy artylerii bułgarskiej, węgierskiej i polskiej, trzeba było kilka miesięcy wcześniej rozpisać protokoły. A potem przeszkolić żołnierzy z tych protokołów, żeby się rozumieli. A mówimy tylko o jednej operacji, w czasie jednych ćwiczeń i to organizacji, która ma już swoje doświadczenia.

Na co powinniśmy więc postawić, by tych przeszkód w ponadpaństwowej współpracy wojskowej było jak najmniej?

Przede wszystkim wspólne organy szczebla operacyjnego, żeby w razie zagrożenia była wyznaczona dywizja z konkretnego kraju odpowiedzialna za daną misję, której podporządkowuje się kilka czy kilkanaście jednostek wojskowych. Do tego standaryzacja. Najważniejsze, by żołnierze z różnych państw się rozumieli, mieli jedne procedury i systemy walki. Wtedy można by używać logistyki z różnych krajów, co skracałoby np. czas dostaw. Mamy chociażby

wspólny natowski kaliber, stosowany w artylerii, dzięki czemu można używać zamiennie amunicji z różnych krajów.

Sojusze wojskowe przeżywają renesans. Mamy zapowiedź rozrostu NATO; USA, Wielka Brytania i Australia tworzą AUKUS. Sceptycy współpracy mówią: „umiesz liczyć, licz na siebie”. Ale trendy są inne.

AUKUS to dowód na to, że partnerzy są potrzebni. Nawet jeśli są geograficznie odlegli. Podam też jeszcze inny, a konkretny przykład. Kolejka chętnych ustawia się po samoloty F 35. Samoloty amerykańskie. Pozornie amerykańskie, bo w pracach nad nimi uczestniczyło dziewięć państw, m.in. Kanada, Norwegia, Wielka Brytania, Turcja i Włochy. Także nawet największe kraje posiłkują się kompetencjami i zdolnościami innych. Wspólną myślą można osiągnąć więcej, a do tego budować trwałe fundamenty bezpieczeństwa międzynarodowego.

DR HAB.

**AGNIESZKA
LEGUCKA**

Analizycka ds. Rosji w programie
Europa Wschodnia w Polskim Instytucie
Spraw Międzynarodowych (PISM)



Żywy trup czy zagubiona potęga? Rosja po inwazji na Ukrainę

Planowana na trzy dni „specjalna operacja wojskowa” Moskwy przerodziła się w pełnoskalową wojnę. Militarną z Ukrainą, a gospodarczą również z Zachodem, zjednoczonym wobec rosyjskiej agresji. Wojna obnażyła problemy Rosji i zahamowała jej imperialne plany. Ale czy wieszczony od miesięcy koniec rosyjskiej potęgi rzeczywiście jest nieunikniony? Opowiada o tym dr hab. Agnieszka Legucka.

Michał Banasiak:

Był taki rosyjski pięściarz, mistrz świata w boksie wagi ciężkiej, Nikołaj Wałujew. Potężny facet: 216 cm wzrostu, prawie 150 kg wagi. Nie szło go przewrócić. W 50 zawodowych walkach ani razu nie leżał na deskach. Dwa razy przegrał, ale przez decyzje sędziów i to niejednogłośne. I tak sobie myślę, że dzisiejsza Rosja jest trochę jak ten Wałujew. Rękoma Ukraińców uderzamy w jej armię, zadajemy jej ciosy gospodarcze, izolujemy ją – np. w sporcie. A ona cały czas stoi i może się wydawać nie do pokonania.

Dr hab. Agnieszka Legucka:

Nie wiem, czy my chcemy dziś Rosję pokonać. Nie walczy przecież z całym światem.



Rosyjscy ekonomiści okazali się lepiej przygotowani do wojny niż tamtejsza armia. Rosja zgromadziła sporo środków w Funduszu Dobrobytu Narodowego (nawet pomimo tego, że jego połowa została zamrożona) i teraz żywi się tymi zapasami.

Ale ta walcząca część to przeciwnik i tak jest więcej niż solidny. I – trzymając się porównania – minęło już kilka rund.

Rosja jest najbardziej sankcjonowanym państwem świata. Nałożono na nią więcej sankcji niż na Iran czy Koreę Północną. Ale jakoś sobie radzi, bo od lat funkcjonuje w warunkach gospodarki wolnorynkowej pod specjalnym nadzorem. A może precyzyjniej: gospodarki państwowego kapitalizmu. Dzięki temu jest elastyczna i lepiej znosi wszystkie blokady. Do tego przygotowywała się na inwazję i kalkulowała zachodnie obostrzenia. Rosyjscy ekonomiści okazali się lepiej przygotowani do wojny niż tamtejsza armia. Rosja zgromadziła sporo środków w Funduszu Dobrobytu Narodowego (nawet pomimo tego, że jego połowa została zamrożona) i teraz żywi się tymi zapasami. Plus ma już pewne rozeznanie w poruszaniu się w realiach sankcyjnych, bo część z nich działa już od 2014 roku. Mieli więc czas dostosować się do kryzysowych warunków.

Tym razem sankcje miały być wyniszczające. Nazywaliśmy je „atomowymi”.

Unia wprowadziła wiele sankcji, ale przecież nie od razu. Wchodziły pakietami, bo i my musieliśmy się do nowej rzeczywistości przygotować. A ten czas Rosjanie potrafili wykorzystywać. Wywoływali przecież niepokoje i kryzysy energetyczne, podbijali ceny ropy.

I na tej ropie zarabiali, w ciągu chociażby ostatniego roku, więcej niż wcześniej. Żeby zapełnić magazyny gazu w UE, trzeba było kupować więcej surowca, więc do Rosji znów płynęły pieniądze.

Związki wielu państw Unii z Rosją były głębokie i ważne dla ich gospodarek, więc sankcje okazały się mieczem obosiecznym. Ale jednak ten kordon obostrzeń wydaje się coraz ciaśniejszy.

I przez to ta rosyjska koniunktura się kończy. Mniej więcej od lata 2022 roku Rosja zaczyna tracić pieniądze i wpędzać się w deficyt. Na razie sytuacja makroekonomiczna jest dobra. Ale jest też ukryte bezrobocie, co może wpływać na nastroje społeczne. Dbają też o kontrolę ucieczki kapitału za granicę i odcinają się od wpływów USA i UE przez nietrzymanie rezerw w dolarach i euro. Rok 2023 będzie dla tego boksera bardzo trudną rundą.

Embargo na ropę może być nokautujące?

34 proc. federalnego budżetu opiera się na sprzedaży ropy i gazu. Do tego dochodzą wpływy z sektorów powiązanych: transport, logistyka, spory wycinek IT. Od lat mówiło się, że trzeba większej dywersyfikacji, ale na mówieniu się kończyło. Teraz dochodzą sankcje na ropę i na produkty ropopochodne. Teoretycznie to powinno być bardzo wstrząsające, ale trudno przewidzieć, jakie będzie przełożenie na rzeczywistość. Unijne embargo czy limit cenowy Rosjanie będą chcieli wyrównać sprzedażą do Turcji, Chin czy Indii. Zresztą już upychają tam swoją ropę. Oczywiście te państwa korzystają z trudnego położenia Rosji i kupują taniej, więc pełnego wyrównania nie będzie. Rosja prawdopodobnie będzie musiała zmniejszyć produkcję swojego surowca, a więc będzie zarabiała mniej. Natomiast nawet niektórym europejskim państwom te sankcje się nie podobają, bo mają monopol na transport rosyjskich surowców. Do tego dochodzi biznes ubezpieczeniowy. Sami Rosji ułatwiamy obronę.

Sekundują jej Chiny. Starają się robić to dyskretnie, ale nawet milczące przyzwolenie Pekinu jest dla Rosji bardzo ważne, jeśli nie decydujące.

Chiny stają się kroplówką dla rosyjskiej gospodarki. Podają temu naszemu bokserowi odżywkę, żeby miał siłę na dalszą walkę. Gdy z Rosji wyszły BMW czy Mercedes, w to miejsce pojawiły się chińskie firmy motoryzacyjne. Chinom zależy na tym, żeby Rosja nie upadła. To pokłósię traumy pod upadku Związku Radzieckiego. Boją się chaosu i destabilizacji. Oczywiście wolą Rosję osłabioną, ale jednocześnie na tyle silną, by rywalizowała z Zachodem.



Frankenstein po Związku Radzieckim cały czas się odradza, powstaje i straszy Zachód. Sam Putin chciałby takiego odrodzenia.

Skoro już padło porównanie do Związku Radzieckiego...

Wpadamy w pułapkę porównywania i wielu chce wierzyć, że Rosja skończy jak Związek Radziecki. Ale Rosja jest cieniem potęgi Związku Radzieckiego. Nie idzie tym samym scenariuszem.

My myślimy życzeniowo, ale rosyjskie elity też lubią myśleć, że Rosja jest jak ZSRR. Chciałyby takich samych wpływów, takiej siły politycznej, gospodarczej.

Frankenstein po Związku Radzieckim cały czas się odradza, powstaje i straszy Zachód. Sam Putin chciałby takiego odrodzenia. A to, co nas może przerażać, Rosjan pokolenia 55+ napawa nadzieją. Dla nich to nie tylko wspomnienie młodości, ale też dobrobytu, stabilizacji. Dziś tego nie mają. Putin na początku swojej pierwszej kadencji zaproponował umowę społeczną i na jej bazie poskromił chaos lat 90. Dlatego pierwsze lata jego rządów dobrze się kojarzą: opanowanie problemów, wzrost dochodów. Ale jego mit szybko zaczął się kruszyć, bo po 2013 roku dochody większości Rosjan zaczęły spadać. Po protestach na placu Błotnym w latach 2011-12, Putin zmienił kurs polityki wewnętrznej i zaczął przykręcać śrubę obywatelom. Jednocześnie idzie w kierunku retoryki antyzachodniej. Odkurza mit Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, odwołuje się do czasów Związku Radzieckiego. Uderza w tony, które Rosjanom się podobają. To konieczność, bo przestraszył się perspektywy kolorowej rewolucji w Rosji. Uznał, że model oferowany przez Unię czy Stany stanowi dla władzy egzystencjalne zagrożenie.

Latami liczyliśmy na możliwość zmiany Rosji i jej polityki. To była polityczna naiwność czy pragmatyzm, żeby mieć czyste sumienie przy robieniu z Rosją interesów?

Niektórzy byli naiwni, a inni rzeczywiście oszukiwali sami siebie. Władimir Putin latami bardzo liczył na zachodnią racjonalność i długo udawało mu się uzyskiwać kolejne oferty kupieckie. Rosyjskie awanturnictwo militarne nie tylko nie spotykało się z ostrymi reakcjami, ale wręcz można było na nim zyskać, bo Zachód płacił Rosji za uspokojenie się. Ogłaszano kolejne resety relacji z Putinem, tak na przykład powstał Nord Stream 1 i 2.

Mówiono, że Rosja musi się zmienić, ale współpracowano z Rosją taką, jaka była.

A to zachęcało Putina do kolejnych aktywności militarnych na peryferiach państwa. Będąc kiedyś w Niemczech tłumaczyłam, że agresywna polityka rosyjska może dotknąć i Niemiec. Może nie w sensie rakiet, ale chociażby odcięcia gazu. Niemcy uważali, że są na to zbyt silni (silniejsi od np. Ukrainy), że mają zbyt dobre stosunki z Moskwą, żeby doszło do takiego ruchu. Dziś czarno na białym widać, że to było myślenie naiwne.

Po agresji rosyjskiej pojawiły się głosy – mówiła tak np. Ursula von der Leyen – że Polska miała rację, ostrzegając przed Rosją. Że lepiej znamy Rosję i powinno się nas słuchać. Teraz Polska będzie słuchana, czy to próżne nadzieje?

W polityce racja nie zawsze wystarcza. Mieliśmy ją w przypadku Rosji, ale trzeba umieć do niej przekonać innych. Zresztą nie słuchano nie tylko nas, bo również państw bałtyckich, rosyjskiej opozycji czy Ukrainy. Mleko się wylało, ale my znów mamy dla Zachodu ostrzeżenie: na tym etapie rozmowy z Rosją i zamrożenie konfliktu są groźne. I wydaje się, że teraz nas słuchają. Nas i Zełenskiego. Ale jeśli kryzys energetyczny się rozpędzi, jeśli będą rosty obawy przed eskalacją konfliktu czy użyciem broni atomowej, jeśli społeczeństwa uznają, że ponoszą za duże koszty, za chwilę znowu możemy zostać z racją, a Europa lub USA pójdzie inną drogą. A przecież mamy solidne podstawy dla swojego stanowiska, że Rosji nie można ustąpić. Przecież Putin nie musi skończyć na Ukrainie. Wielokrotnie dawał do zrozumienia, że to tylko element jego układanki, a celem jest zmiana ładu międzynarodowego.



Władimir Putin latami bardzo liczył na zachodnią racjonalność i długo udawało mu się uzyskiwać kolejne oferty kupieckie. Rosyjskie awanturnictwo militarne nie tylko nie spotykało się z ostrymi reakcjami, ale wręcz można było na nim zyskać, bo Zachód płacił Rosji za uspokojenie się.

Jednomyślność Zachodu i zaufanie Europie Środkowo-Wschodniej wystarczyłyby, żeby Rosja stała się pariasem nie tylko na czas wojny, ale i po niej?

Izolacja Rosji w Europie nie wynika z jakiegoś wyższego przekonania, że tak trzeba, tylko ze strachu.

Strachu o rozlanie się wojny, o wywoływanie kolejnych kryzysów energetycznych czy kłęski głodu. Poza tym to tylko Europa. Gdy porozmawiać z Chińczykami, Hindusami, Brazylijczykami, Afrykanami – optyka jest inna. Tam rosyjskie argumenty się rozumie. I to nie jest kwestia tylko rosyjskiej propagandy i wpływów, ale w dużej mierze też niechęci do Stanów Zjednoczonych, części państw europejskich (byłych metropolii), pretensji o czasy kolonializmu i współczesnych błędów Zachodu w polityce wobec tych państw i regionów. Polityki zagranicznej nie da się zmienić tu i teraz, nagle. To długi proces i powinniśmy próbować wykorzystać sytuację, by poszedł w korzystnym dla nas kierunku.

Powracająca co jakiś czas w różnych kręgach wiara, że Rosja się zdemokratyzuje powinna zostać raz na zawsze porzucona?

Dramat Rosji polega na tym, że w tamtejszej kulturze politycznej proces demokratyzacji jest bardzo trudny, jeśli nie niemożliwy. Postulaty demokratyczne miała rosyjska opozycja na początku lat 90., potem na początku 2000., ale one były źle kojarzone. Społeczeństwo je odrzuciło.

W powszechnym przekonaniu, co najmniej częściowym rozwiązaniem problemu Rosji byłoby usunięcie Władimira Putina. Tylko co dalej? Władzę przejmuje marginalna dziś i bezżębna opozycja?

Opozycja w Rosji nie istnieje. Jakaś była na przełomie wieków, ale skłóciła się sama ze sobą.

Dziś kojarzymy opozycję z jednym nazwiskiem: Nawalny.

Niestuszenie. Jest wiele różnych grup opozycyjnych, oczywiście funkcjonujących poza Rosją. W Polsce jest duża obawa wobec Nawalnego. Niektórzy boją się go bardziej niż Putina. Mówią, że Zachód dogada się z nim ponad naszymi głowami. Ale to nie jest demokratą w naszym rozumieniu. Z hasłami demokratycznymi nie trafiłby do Rosjan. Zaczynał od postulatów nacjonalistycznych i przeszedł drogę do hasel europejskich.

Z tymi hasłami w Rosji też nie jest łatwo.

Moja koleżanka Rosjanka mówi, że jest zbyt europejski na Rosję. Z kolei w Polsce uważany jest za Wielkorusa. Kim więc właściwie jest? Zwierzęciem politycznym, trudnym do zdefiniowania i umieszczenia na mapie politycznej. Dla nas jego działalność jest o tyle korzystna, że osłabia system Putina. Natomiast część niegdysiejszej rosyjskiej opozycji twierdziła,

że to produkt i agent Kremla. Nie zgadzam się z tym, gdyż jako produkt Kremla nie skończyłby w kolonii karnej. Obóz Putina skutecznie go zneutralizował.

Aleksiej Nawalny jest poza grą, ale tzw. „Ekipa Nawalnego” nadal działa. Co prawda przede wszystkim w sieci, ale tam są bardzo aktywni.

Bo Nawalny był i nadal jest inspiracją dla aktywistów. Dzięki niemu odważyli się wyjść na ulice. Ta ekipa działa dziś poza granicami. Różni, nie tylko ci od Nawalnego, rosyjscy aktywiści rozsiani w Niemczech, Wielkiej Brytanii czy USA lobbują na rzecz sankcji, ale też idą w narrację, że wojna z Ukrainą nie jest wojną Rosji, a Putina. Że Putin zmusił społeczeństwo do pójścia na niesprawiedliwą wojnę. Twierdzą, że po zakończeniu wojny Putina nie będzie, więc Zachód będzie znowu współpracował z Rosją. Wtedy władzę miałyby sprawować przewidywalny przywódca, który poprowadzi Rosję drogą demokracji i wolnego rynku. To mógłby, ich zdaniem, być Aleksiej Nawalny.

DR

**MICHAŁ
BOGUSZ**

Główny specjalista w Programie Chińskim
Ośrodka Studiów Wschodnich.
Autor bloga ZaWielkimMurem.net

**Niekończąca
się pandemia,
wiszący konflikt
o Tajwan
i rywalizacja
z USA. Czy Chiny
mają czas
na Europę?**

Szansa czy zagrożenie? To dylemat często pukający do drzwi europejskich stolic, gdy pojawia się w nich temat politycznej, biznesowej bądź gospodarczej współpracy z Chinami. Chiny pomysłów na Europę mają mnóstwo, ale wiele z nich kończy się na obietnicach i rozmytych planach. Z czego to wynika i jak może się zmienić, tłumaczy dr Michał Bogusz z Ośrodka Studiów Wschodnich.

Michał Banasiak:

Mimo wielu ostrzeżeń i obaw, płynących nawet z niemieckiego rządu, Chiny dostały zielone światło na zainwestowanie w port w Hamburgu. To powinien być dla nas dzwonek alarmowy?

Dr Michał Bogusz:

Myślę, że sprawa jest trochę rozdmuchana. To jest niecałe 25 proc. i w dodatku nie w całym porcie, a w jednym z terminali. Oczywiście to też się wiąże z jakimiś potencjalnymi niebezpieczeństwami, ale moim zdaniem – tak bardzo, jak jestem sceptyczny wobec chińskich inwestycji w infrastrukturę krytyczną na świecie – ryzyko jest minimalne. Bez porównania do zakupów w porcie w Pireusie czy prób przejścia całych terminali w Europie Wschodniej.

A jednak dyskusja wokół tego ruchu wykroczyła poza Niemcy. Może i realnie udziały będą niewielkie, ale to bardzo mocny sygnał polityczny.

W samych Niemczech ta transakcja była raczej pretekstem do dyskusji niż jej esencją. W Niemczech dużo mówi się o uzależnieniu tamtejszej gospodarki od chińskiej. A to już istniejące i pogłębiające się uzależnienie jest wynikiem prochińskiego lobby w niemieckim biznesie i jego wpływu na polityków. To żadna tajemnica, że co najmniej część SPD i CDU była, jest i w przewidywalnej przyszłości będzie finansowana przez duże niemieckie korporacje, którym jest na rękę rozwijanie dalszych biznesowych relacji z Chinami. Widzieliśmy to podczas wizyty kanclerza Scholza w Pekinie, gdzie był z nim wianuszek przedstawicieli największych niemieckich firm.



Chińczycy wykazali się totalną nieznajomością realiów Europy Środkowo-Wschodniej. Patrzyli na nią przez pryzmat dawnego bloku wschodniego i uważali, że to będzie dość naturalne środowisko dla chińskiego biznesu.

Mówimy tyle o Niemczech, bo to duża europejska gospodarka. Jednak Chińczycy z wieloma pomysłami na inwestycje pukali do kilkunastu innych państw, zwłaszcza w ramach projektu 16+1, potem 17+1. Teraz już właściwie nie wiadomo, ile europejskich krajów na poważnie interesuje się tym chińskim przedsięwzięciem. To jest projekt już martwy czy tylko zamrożony?

Pół martwy, pół żywy. Chińczycy myśleli o tym projekcie dwutorowo. Po pierwsze, próbowali znaleźć zaczepienie w Unii, bo uczestniczyło w nim

przecież spore grono państw unijnych. Liczyli, że łatwo przyjdzie im zrealizowanie tam jednego czy drugiego projektu, wrzucają go sobie w portfolio i pójdą na Zachód, mówiąc: patrzcie, myśmy w realiach unijnej gospodarki, unijnych regulacji zrealizowali to i to, więc poradzimy sobie i u was.

Deklaracji było wiele, ale inwestycje pojedyncze.

Chińczycy wykazali się totalną nieznajomością realiów Europy Środkowo-Wschodniej. Patrzyli na nią przez pryzmat dawnego bloku wschodniego i uważali, że to będzie dość naturalne środowisko dla chińskiego biznesu. Proponowali ten sam model funkcjonowania, który stosują w Afryce, czyli powiązanie wykonawstwa projektu z kapitałem z kredytu na wysoki procent, gwarantowany przez państwo. Kompletnie nie zrozumieli, że tutaj można taniej pozyskiwać pieniądze z rynku. Że nasze regulacje przewidują przetargi i nie można wiązać wykonawstwa i kredytu. Sądzę też, że dla najwyższego chińskiego kierownictwa politycznego to miała być karta przetargowa do rozmów z Niemcami i Francuzami. Taka karta-straszak: nie będziecie chcieli się z nami dogadać, to my się dogadamy z Europą Wschodnią. A gdyby udało się porozumieć z Francją i Niemcami, projekt można by poświęcić.

Państwa w Europie zaczęły się niecierpliwie brakiem realizacji obietnic Pekinu?

Niektóre powiedziały: „sprawdzam”. Wyszło na to, że odwróciły kartę przeciwko Chinom i same poświęciły ten projekt na rzecz relacji z USA. Mówię tu przede wszystkim o Bałtach. Z kolei np. kraje bałkańskie czy Węgry próbują szukać jakichś politycznych i gospodarczych profitów. A jeszcze inne kraje wrzuciły to do zamrażarki i spokojnie czekają. A nuż jeszcze kiedyś się przyda.

Zwykle to o europejskim poruszaniu się w Chinach mówimy, że brakuje nam rozeznania w tamtejszych realiach. Tymczasem Pan mówi, że Chińczycy nie wiedzą, jak działać w Europie Środkowo-Wschodniej. Z czego to wynika?

Przede wszystkim z braków kadrowych. Tam fizycznie nie ma ludzi, którzy by się znali na naszym regionie. Spójrzmy, jak wygląda rekrutacja do chińskiego MSZ. Najlepsi trafiają na odcinek amerykański, reszta na Europę Zachodnią. W Europie Środkowo-Wschodniej lądują ludzie z tej samej grupy, która zajmuje się Afryką.

Czyli piątkowi absolwenci zajmują się USA, a u nas można liczyć co najwyżej na czwórkowych.

Piątkowi idą w biznes, a nie do dyplomacji. Czwórkowi zajmują się Zachodem, a trójkowi i jadący na miernych trafiają do Europy Środkowo-Wschodniej. Chińskie think-tanki ten obszar też traktują po macoszemu. W nich również brakuje ludzi znających lokalne języki. Niby Chińczycy ich kształcą, wysyłają na studia do różnych państw, ale realia są brutalne. Podam przykład chińskich studentów polonistyki. Na każde 20 osób, może 3-4 dobrze komunikują się po polsku. I te osoby nie będą się zajmować Polską, bo pójdą w biznes. Zwykle to zdolni lingwiści, więc opanowują jeszcze 2-3 inne języki i łądają zupełnie gdzie indziej. Z kilku roczników do pracy w dyplomacji trafia może jedna osoba. Mówimy o kraju, który ma miliard mieszkańców.



Dla Chin Unia Europejska to ekspozytura niemieckiej i francuskiej klasy rządzącej, która ma realizować ich interesy, kosztem innych krajów.

Jak to możliwe?

Oni by chcieli, ale po prostu nie mają możliwości ogarnięcia wszystkiego. Amerykański Departament Stanu to dobrze działająca machina, ale jest budowana od końca XIX wieku. A Chińczycy? Tworzą swój MSZ od niedawna. Narodził się po rewolucji kulturalnej, a w zasadzie dopiero w latach 80. czy nawet 90. Ma kształt zupełnie nieadekwatny do chińskich ambicji. A do tego jest ubezwłasnowolniony ideologicznie i kadrowo. I jeszcze ma bardzo wąskie gardło decyzyjne, bo każda ważna decyzja musi przejść przez partyjne biuro polityczne, a nawet jego stały komitet. Bardzo małe grono, które nie jest w stanie połączyć się we wszystkim, co dzieje się na świecie. Zajmują się więc tym, co najważniejsze.

Przejdźmy na zachód Europy. Chiny traktują dziś Unię Europejską jako poważnego partnera?

Dla Chin Unia Europejska to ekspozytura niemieckiej i francuskiej klasy rządzącej, która ma realizować ich interesy, kosztem innych krajów. Chiny patrzą na świat przez pryzmat teorii marksizmu-leninizmu i próbują tłumaczyć sobie wszystko klasowością. Uważają, że w każdym państwie istnieje jakaś klasa rządząca i te państwa funkcjonują w oparciu o realizowanie interesów tej klasy. Świetny przykład to chińska analiza brexitu. W mniemaniu Chińczyków brexit wynikał z tego, że brytyjskie elity nie mogły zaakceptować faktu niedopuszczenia ich do współdecydowania o Unii Europejskiej przez elity z Francji i Niemiec. I w efekcie

brytyjskie elity miały doprowadzić do wyjścia z Unii. Czasami aż dziw bierze, jak to jest proste i uproszczone sposob patrzenia na świat. Ale taki jest.

W kontekście Chin i ich rywalizacji z USA, modnym pojęciem stał się ostatnio decoupling. Co gospodarcze rozłączenie tych krajów oznaczałoby dla Europy?

Bolesny proces adaptacyjny, który jednak ostatecznie mógłby okazać się korzystny, szczególnie dla Europy Środkowo-Wschodniej. Przecież siłą rzeczy część łańcuchów miałyby szanse tutaj trafić. Decoupling jest moim zdaniem niemożliwy do uniknięcia, więc powinniśmy zawczasu się do niego przygotować. Offshoring, nearshoring – to pojęcia, z którymi powinniśmy się zaprzyjaźnić, bo otwierają przed Europą ogromne możliwości.

Trudno konkurować z Chinami pod względem kosztów siły roboczej czy fabrycznych emisji.

Do Europy Zachodniej można by repatriować te ogniwa, które dadzą się poddać zielonej rewolucji i nie zależą tak bardzo od kosztów pracy. Natomiast pozostaje jeszcze otoczenie Europy, które ma na nią ogromny wpływ. Gdyby przenieść część fabryk do Afryki, można by z jednej strony wyhamować migrację stamtąd, a z drugiej związać ze sobą rozwijające się państwa afrykańskie. Przez najbliższych kilka dekad to Afryka będzie miała największy potencjał demograficzny i on, w połączeniu ze zmianami klimatu, może być negatywny dla Europy. Ale jeśli ulokujemy tam część przenoszonych z Azji łańcuchów dostaw, będziemy w stanie ustabilizować i migracje i być może również sytuację polityczną tych państw. Rzecz ma się podobnie z Bałkanami czy Bliskim Wschodem. Powtarzam: decoupling będzie procesem bardzo bolesnym, ale skoro i tak ma się dokonać, skorzystajmy na tym.



Polityka „zero COVID” tylko uwypukliła część tych problemów i przyspieszyła pewną entropię systemu. Jej zniknięcie zadziała jak rodzaj akceleratora, ale nie rozwiąże problemów strukturalnych.

Chiny uparcie realizowały bardzo ostrą politykę wobec koronawirusa. Z masowym testowaniem i zamykaniem całych miast zostały właściwie ostatnie na świecie. Mocno dostało się przy tym tamtejszej gospodarce.

Zwłaszcza eksportowi, a to on pozwala utrzymać chińską gospodarkę na powierzchni. Dlatego moim zdaniem nieprawdziwe były pojawiające się tezy, że chińskie ograniczenia pandemiczne miały pośrednio szkodzić innym państwom. Bez eksportu Chin już dawno byłyby w dużych kłopotach.



Wiem, że są różnego rodzaju geopolityczni guru, którzy wrzucają w Excela liczbę chińskich samolotów, stan floty i wychodzi im, że Chiny by wygrały. To tak nie działa. Ukraina pokazała, że samo sumowanie środków bojowych nic nie daje.

Pod koniec 2022 roku polityka „zero COVID” została porzucona. Pana zdaniem chińska gospodarka będzie teraz lizać rany, czy raczej szaleńczo nadrabiać starty i czeka nas wielki boom?

Zniesienie każdych restrykcji oznacza odbicie. W przypadku Chin moim zdaniem będzie ono przez wielu obserwatorów błędnie wzięte za rozwiązanie wszystkich problemów tego kraju. Przez 6-12 miesięcy będzie odbicie i usłyszymy, że Chiny wróciły na ścieżkę rozwoju. To nie tak. Błędem w mojej opinii jest patrzenie na politykę „zero COVID” jak na źródło wszystkich problemów gospodarczych Chin. A one wynikają przede wszystkim z wyczerpania się możliwości obecnego modelu rozwoju. Polityka „zero COVID” tylko uwypukliła część tych problemów i przyspieszyła pewną entropię systemu. Jej zniknięcie zadziała jak rodzaj akceleratora, ale nie rozwiąże problemów strukturalnych. To wymaga bardzo poważnych przemian modelu politycznego i gospodarczego.

Taka zmiana nadchodzi?

Władze obrały kierunek zmian, ale akurat restalinizacja, zwiększenie wpływu państwa i zwiększenie roli ideologii mogą zadziałać w sposób paraliżujący. Zabić innowacyjność chińskiej gospodarki. Już wiemy, są na to nawet chińskie badania, że przedsiębiorstwa państwowe są mniej innowacyjne i mniej wydajne. Poziom zwrotu inwestycji jest w nich o wiele niższy, a zasoby są często marnotrawione. Zamiast rozwiązania problemów, szykuje się więc ich nawarstwianie.

Europa, w dużej mierze pod presją USA, blokuje Chinom możliwość budowy i inwestycji w sektor telekomunikacyjny. Zwłaszcza przy okazji rozstrzygnięć w sprawie budowy infrastruktury 5G.

Teraz wskazuje się, że należałoby się zająć chińskimi aplikacjami, mogącymi być narzędziem szpiegowania użytkowników.

Zagrożenie ze strony chińskich komunikatorów jest wielorakie. Po pierwsze, daje machinie propagandowej ogromną ilość danych, na podstawie których można budować skuteczny przekaz. Wkrótce może nawet profilowany, kreowany pod konkretną osobę. Po drugie, istnieje niebezpieczeństwo rozpowszechniania treści propagandowych przez te platformy. Mogą powielać prochińskie narracje czy podważać porządek prawny albo polityczny na zachodzie. Po trzecie, przy pomocy zebranych danych i dzięki możliwościom bezpośredniego docierania do konkretnych ludzi, można próbować wpływać na wybrane jednostki, którymi mogą być decydenci albo osoby bliskie decydentów.

To już bezpośrednie zagrożenie polityczne.

Na razie Chiny są na etapie pierwszym, czyli budują sobie bazy danych i zastanawiają się, jak efektywnie dostosować swój przekaz do zachodniego odbiorcy. Ale my już musimy sobie zadawać pytania wyprzedzające: co z tym zrobić? Jak będzie rozwijać się technologia i jakie możliwości da chińskiemu wywiadowi i tamtejszym ośrodkom wpływu?

W roku 2022 bardzo poważnie zaczęło się dywagować na temat konfliktu zbrojnego o Tajwan. Pobrzmiwa mi w uszach zdanie prof. Góralczyka, że „Chiny nie chcą wojny, ale są na nią gotowe”. Zgadza się Pan z tym?

Nie, Chiny nie są gotowe na wojnę. Armia Ludowo-Wyzwoleńcza nie ma zdolności do rzucenia wyzwania Stanom Zjednoczonym i ich sojusznikom. Chiny zdają sobie sprawę, że w konflikcie z nimi Amerykanie nie walczyliby sami. Mieliby wsparcie Japonii, Australii, wydaje się, że również Wielkiej Brytanii. Wiem, że są różnego rodzaju geopolityczni guru, którzy wrzucają w Excela liczbę chińskich samolotów, stan floty i wychodzi im, że Chiny by wygrały. To tak nie działa. Ukraina pokazała, że samo sumowanie środków bojowych nic nie daje. Chińska armia może być gotowa na poziomie materiałowym, ale nie jest gotowa na poziomie wyszkolenia, zdolności taktycznych, systemów dowodzenia. Czyli finalnie dziś nie jest gotowa na wojnę.

Jeśli iść za nauką Sun Tzu, skoro Chiny nie są gotowe, to tym bardziej wojny nie chcą.

To właśnie jest pytanie. W oczywisty sposób woleliby osiągnąć swoje cele wobec Tajwanu bez

gorącego konfliktu, ale wydaje się, że dojrzeła w nich przekonanie, że to się nie uda, że nie da się po prostu wypchnąć Amerykanów. I na poważnie myślą, że bez jakiegoś konfliktu zbrojnego się nie obejdzie. No i tu wracamy do pytania, czy są na ten konflikt gotowe. Nie są. Sądzą, że Zachód chce je zmusić do podjęcia działań, na które nie są przygotowani. Patrzą na to przez pryzmat Japonii i II wojny światowej. W ich optyce to Amerykanie, nakładając embargo na paliwa na Japonię, zmusili ją do podjęcia wojny, do której Japonia nie była gotowa. Chiny oczywiście wolałyby być gotowe, ale jeszcze przez co najmniej kilka lat nie będą. A iść na wojnę nieprzygotowanym?

Mamy świeży przykład, że to się nie opłaca.

Tak, ale czasami pojawia się myślenie, że wojna może rozwiązać problemów. A Chiny mają dużo problemów wewnętrznych. Teraz trudno je przezwyciężyć, ale w sytuacji gospodarki wojennej czy stanu wojennego uzyskano by narzędzia na przyspieszenie pewnych procesów. Może się więc okazać, że w Pekinie dojdą do wniosku, że eskalacja, mimo wielu ryzyk, które niesie, jest jedyną drogą do przodu. Właśnie z powodów wewnętrznych, a nie zewnętrznych, bo dałaby narzędzia do przeprowadzenia zmian, które są konieczne. Bez nich reżim będzie się czuł zagrożony.

DR

**ANNA
KWIATKOWSKA**

Kierowniczka Zespołu Niemiec i Europy
Północnej w Ośrodku Studiów Wschodnich

**Niemcy u progu
wymuszonej
transformacji**

Latami opierali swoją politykę energetyczną o kontakty z Rosją. Głusi na apele Europy Środkowo-Wschodniej, Niemcy coraz bardziej uzależniali się od rosyjskiego gazu. Wojenna zawierucha zmusiła Berlin do nagłej, kosztownej i bolesnej wolty. „Jeśli Niemcy przetrzymają trudny okres zmiany, to ostatecznie dobrze na tej trochę przymusowej »transformacji wszystkiego« wyjdą” – mówi dr Anna Kwiatkowska, kierowniczka Zespołu Niemiec i Europy Północnej w Ośrodku Studiów Wschodnich.

Michał Banasiak:

Jak napaść Rosji na Ukrainę wpłynęła na Niemcy?

Dr Anna Kwiatkowska:

Wpłynęła dramatycznie, ale tak naprawdę nie sama napaść, lecz to, że Ukraina się postawiła, przetrwała pierwsze uderzenie, które miało ją zmieść i nadal się broni. Niemcy się tego nie spodziewali i do nowej sytuacji nadal się dopasowują. Tak czy inaczej, Putin, mówiąc Rymkiewiczem, ugryzł Niemcy w tyłek i popędził do reform i transformacji. A że niemieckie społeczeństwo nie lubi nagłych zmian, to są one tym bardziej bolesne. W tej nowej rzeczywistości gdzie nie spojrzeć, tam widać ogromne perturbacje i potrzebę głębokich przeobrażeń. Politycy zarządzają tą zmianą, przedstawiając myślenie Niemców na tory kryzysowe czy wręcz wojenne. Na Niemców strach przed wojną działa mobilizująco, łatwiej im znosić przyspieszony tryb transformacji.

Energetycznej?

Nie tylko, bo wojna wyróciła do góry nogami cały system. W Niemczech dochodzi do weryfikacji dotychczasowych strategii w kilku sektorach jednocześnie. Przede wszystkim jednak w energetyce. Niemcy bazowali na tanim rosyjskim gazie, z którym wiązali duże nadzieje gospodarcze i polityczne. Na nim zdobywali przewagę ekonomiczną, a Nord Stream miał ten trend przypieczętować i jeszcze bardziej umocnić ich pozycję. Teraz tę strategię trzeba porzucić, zając się bardziej bezpieczeństwem energetycznym, budować terminale LNG, sprowadzać gazowce. W dodatku trzeba było przesunąć w czasie odejście od węgla. Do tej pory Niemcy tylko mówili, że się dywersyfikują energetycznie. Teraz naprawdę to robią.

Rewolucji jądrowej jednak nie ma.

Są na to naciski z wewnątrz kraju, ale też z różnych unijnych stolic. Niemcy jednak uważają, że atom i tak nie załatwiłby problemu. Zamiast tego idą w LNG, stawiają farmy wiatrowe, solary, inwestują w technologie wodorowe. Uważają, że bez atomu sobie poradzą. Kompromisowo udało się przedłużyć działanie trzech elektrowni jądrowych do połowy kwietnia 2023 roku. Na więcej się nie zanoszą, bo gdyby były takie plany, należałoby już zająć się zakupami paliwa do tych elektrowni. Niemcy tego nie robią, więc pewnie w kwietniu będzie koniec.

Nawet kryzys energetyczny nie był w stanie skłonić polityków do zmiany zdania?

O polityce energetycznej współdecydują teraz tworzący rząd Zieloni. Oni i tak już mocno podważyli

w ostatnim czasie mity założycielskie swojej partii, np. pacyfizm i zakaz wysyłania broni w regiony konfliktów. Dziś są za wysyłaniem broni Ukrainie i głośno to mówią. Teraz jeszcze mieliby odpuścić antyatomowe stanowisko? Dla większości z nich to niewyobrażalne. Ten polityczny kompromis z FDP i SPD to z ich strony i tak sporo. Robert Habeck rekompensuje to tak, że dwoi się i troi przy szukaniu kolejnych źródeł pozyskiwania nośników energii. Jego ministerstwo gospodarki i ochrony klimatu już w marcu zajęło się szukaniem nowych możliwości. Habeck jeździ po świecie, czasem z kanclerzem Scholzem, czasem sam, i negocjuje konkretne umowy. Norwegia, Kanada, czy Katar, to wszędzie są trudne rozmowy. I jeszcze musi przekonywać „swoich” do rewizji ich antyatomowej agendy.



Model napędzania gospodarki tanimi surowcami z Rosji, eksportowania niemieckich wyrobów po całym świecie i silnych powiązań handlowych i inwestycyjnych z Chinami będzie coraz trudniejszy politycznie i jego ewolucja na pewno pociągnie za sobą zmiany społeczne.

Ta antyatomowa narracja działa nieco w próżni, bo z jednej strony Niemcy mają Francję, która mocno na atom stawia, a z drugiej Polskę, która chce na niego stawiać.

Długi czas mieliśmy czynny opór niemieckich polityków w sprawie naszego atomu. Nie podobały im się plany postawienia elektrowni w Polsce w ogóle, a już zbyt blisko granicy w szczególności. Nie tylko uważali cały sektor jądrowy za niebezpieczny, ale też konkurencyjny dla technologii odnawialnych źródeł, na które oni stawiają. Ale po rosyjskiej inwazji na krótko nastąpiła zmiana; w jakimś stopniu zrozumienie sytuacji i prawa innych do kształtowania własnej polityki energetycznej. Teraz znowu słychać głosy o sprzeciwie np. Meklemburgii-Pomorza Przedniego. Akurat tego landu, który wstawił się fejkową fundacją klimatyczną pilnującą interesów NordStreamu i Gazpromu.

Niemcy są w stanie udźwignąć tę nagłą zmianę modelu gospodarczego, opartego na tanim gazie?

Na razie walczą z doraźnymi skutkami kryzysu energetycznego, brakiem surowców, i jak wspominałam – dywersyfikują źródła. Położyli na stole słynny już pakiet 200 miliardów euro, mający być osłoną ich gospodarki i konsumentów. I tym też zirykowali unijnych partnerów, bo pojawiły się zarzuty,

że tak duża suma państwowego wsparcia może zaburzyć działanie jednolitego rynku. Musieli się gęsto tłumaczyć, że nie chodzi o jednorazowe wsparcie, ale rozłożone na kilka lat i podawać wyliczenia z innych państw, takich jak Francja, które mają podobne programy ochrony przed kryzysem. Tak czy owak, model napędzania gospodarki tanimi surowcami z Rosji, eksportowania niemieckich wyrobów po całym świecie i silnych powiązań handlowych i inwestycyjnych z Chinami będzie coraz trudniejszy politycznie i jego ewolucja na pewno pociągnie za sobą zmiany społeczne. Trzeba będzie nowej umowy społecznej, w której państwo niemieckie przestaje być państwem kupieckim, skupionym na gromadzeniu dóbr i byciu mistrzem świata w eksporcie.



Teraz Niemcy zrozumieli, że tak jak energetycznie uzależnili się od Rosji, tak ekonomicznie zbyt mocno polegają na Chinach i chcą to zmienić. Dlatego zaczyna się szukanie nowych partnerów i nawiązywanie silniejszej współpracy z Japonią, Koreą Południową czy Wietnamem.

Obserwujemy definitywny koniec niemiecko-rosyjskich interesów czy tylko zawieszenie?

Niemieckie media donosiły, że ok. 80 proc. małych i średnich firm działających w Rosji przed wojną, nadal tam jest. Głośno było o tych, które się wycofały, ale część się przyczaiła i wyczekuje rozwoju wypadków. Często pod pretekstem „dbania o rosyjskich, Bogu ducha winnych, pracowników”. Liczby od dawna wskazywały na nieistotność rosyjskiego rynku dla Niemiec, zwłaszcza w porównaniu z rynkiem państw Europy Środkowej, ale dopiero obecna wojna pokazuje, że da się bez niego żyć. Nawet bez tamtejszych surowców. Jednak ci, którzy wierzą w mityczny wielki rosyjski rynek, tak szybko nie zrezygnują.

Biznes kieruje się prawem pieniądza, ale politykę państwa można opierać na innych wartościach.

Nie wierzę w całkowite „porzucenie” czy odcięcie się od Rosji. Niemcy uważają, że to jest niemożliwe. Dokładny kształt tych nowych relacji będzie uzależniony od dalszego przebiegu i zakończenia konfliktu. Ale z Zielonymi i liberałami z FDP po jednej i jakimś produktem putinopodobnym po drugiej stronie, nie wyobrażam sobie powrotu do wcześniejszej współpracy politycznej i gospodarczej. Zieloni są tą partią, która wciąż podkreśla i tak też na razie działa, że budowanie dobrobytu państwa musi być oparte na

wartościach i że choć to kosztuje, Niemcy powinno być na to stać.

Pod koniec 2022 roku mieliśmy głośną chińską inwestycję w jeden z terminali portu w Hamburgu. Biznesowo to może nie był przełomowy ruch, ale symbolicznie bardzo ważny i mocno dyskutowany. Zwłaszcza, że kanclerz Scholz nawet w swoim otoczeniu napotykał na opór przed zgodą na wypuszczenie Chińczyków.

To tylko jeden z licznych i nie najbardziej spektakularnych dowodów na niemieckie uzależnienie się od Chin. To jest i będzie duży problem. Niemcy już kilka lat temu zdali sobie z tego sprawę, wprowadzili nawet niezbędne regulacje chroniące ich firmy przed chińskimi przejęciami. Teraz tym bardziej nie chcą być w tarapatkach, gdyby doszło do konfliktu o Tajwan czy innych problemów na Morzu Południowochińskim i zostaliby zmuszeni do odcięcia się od Chin. Wyciągają lekcję z sytuacji z Rosją i chcą to uzależnienie zmniejszać powoli i uporządkowanie, bez presji. Czy wystarczy im czasu, nie wiadomo.

Jak to ma wyglądać?

Niemiecka gospodarka kręciła się dzięki handlowi w obrębie UE, ze Stanami, ale też dzięki związaniu eksportowemu i inwestycyjnemu z Chinami. Latami krystalizowała się w regionie Indo-Pacyfiku zasada China first; Chiny były kluczowym partnerem eksportowym i inwestycyjnym. Teraz Niemcy zrozumieli, że tak jak energetycznie uzależnili się od Rosji, tak ekonomicznie zbyt mocno polegają na Chinach i chcą to zmienić. Dlatego zaczyna się szukanie nowych partnerów i nawiązywanie silniejszej współpracy z Japonią, Koreą Południową czy Wietnamem. Natomiast duże niemieckie firmy, jak Volkswagen czy BASF, będą tę transformację opóźniać – nie po to dopiero co włożyły w chińskie inwestycje miliony euro, żeby za chwilę się stamtąd wycofywać. BASF na największą swoją inwestycję w Chinach przeznaczył 10 mld(!) euro do 2030 roku.

Od początku rosyjskiej inwazji na Ukrainę sporo miejsca poświęcamy analizie postawy Niemiec. Mam wrażenie, że zwłaszcza w Polsce i oczywiście w kontekście dostaw broni, uważamy niemieckie wsparcie za, delikatnie mówiąc, niewystarczające.

Jeśli pytać w okolicach urzędu kanclerskiego, który jest wyrocznią w sprawie polityki zagranicznej, to tam podtrzymywana jest narracja, że postawa wobec wojny jest rozsądna. Bez porywów, nieromantyczna, ale bardzo pragmatyczna. Natomiast nawet w niemieckim rządzie słychać też inne głosy. Liberałowie czy Zieloni,

a więc koalicjanci Olafa Scholza, postrzegają politykę wobec wojny jako chwiejną, kunktatorską. Podobną percepcję mają niektórzy niemieccy eksperci, a nawet sojusznicy, nie wyłączając Amerykanów.

Kanclerz Scholz wsłuchuje się w te inne głosy?

Scholz uważa, że postępuje słusznie i z wyższością dowodzi, że to on ma rację. Argumentuje, że dostarcza Ukrainie wszystkiego, czego Ukraińcy są w stanie użyć. Nie zamierza podejmować żadnych „samodzielnych kroków”, bo nie chce wciągać ani Niemiec, ani NATO do wojny. Podnosi też argumenty o niemożności osiągnięcia zwycięstwa militarnego nad mocarstwem atomowym i potrzebie roztropności, by nie wciągnąć Europy w III wojnę światową.

Inne państwa NATO też zachowują ostrożność, ale są w swoich działaniach bardziej zdecydowane.

Niemcy długo sprawiali wrażenie państwa, które po prostu nie może się zdecydować, czy całkowicie porzucić Rosję i w pełni wesprzeć Ukrainę, czy może zostawić sobie jakąś furtkę. No bo skoro Rosji nie da się pokonać, to prędzej czy później trzeba się będzie z nią jakoś ułożyć. I wielu w tym właśnie upatrywało źródła niepewności niemieckich ruchów, zwłaszcza w kwestii dozbrajania Ukrainy, bo jeśli chodzi o pomoc finansową i humanitarną Niemcy wyglądają znacznie lepiej. W Berlinie używano też argumentów o trudnej historii, zobowiązaniach wobec Rosji i regulacjach zabraniających przesyłania broni w strefy konfliktu. Tylko tu też mieliśmy wewnętrzną niespójność komunikacyjną, bo Zieloni, funkcjonujący przecież w tym samym państwie i w tym samym rządzie, byli w stanie zająć jednoznaczne stanowisko. Zmienili swoje podejście, niemalże odrzucili swój założycielski mit pacyfizmu i mówią, że Ukraina to państwo broniące się przed agresorem i jako takie ma prawo również do militarnej pomocy.



Stany są kluczowe z punktu widzenia bezpieczeństwa Niemiec, a znowu w Europie, RFN zamierza przejąć rolę przywódczą, tak przynajmniej twierdzą niemieccy politycy, zwłaszcza socjaldemokraci.

Ten brak zdecydowania i wewnętrzny rozdźwięk nie podoba się nie tylko w Polsce. Niemcy zbierają krytyczne recenzje w Brukseli, w Waszyngtonie.

Niemcy mocno straciły na wiarygodności. Przede

wszystkim w Europie Środkowo Wschodniej, na wschodniej flance NATO, ale i w Stanach Zjednoczonych, zirytowanych taką niedookreśloną postawą.

Nie ma refleksji u niemieckich polityków?

Udają, że nie widzą problemu i zasadniczo wszystko jest w porządku. Ale wiedzą, że nie jest. Cały czas trwają zabiegi dyplomatyczne, by tę nadszarpniętą wiarygodność odbudować. I w Europie i za oceanem. Stany są kluczowe z punktu widzenia bezpieczeństwa Niemiec, a znowu w Europie, RFN zamierza przejąć rolę przywódczą, tak przynajmniej twierdzą niemieccy politycy, zwłaszcza socjaldemokraci. Bez odzyskania wiarygodności, to nie będzie możliwe.

Wojna, Rosja, Chiny, USA. Prawdziwa próba ognia dla kanclerza Scholza, który przecież i tak nie miał łatwej roli, przejmując stery po rządach Angeli Merkel.

Angela Merkel, odchodząc po czterech kadencjach urzędowania, miała w Niemczech grubo ponad 60 proc. poparcia. Rzecz niebywała. Ludzie zdawali sobie sprawę, że nie przygotowała państwa na agresywną politykę Chin czy Rosji. Wiedzieli, że doprowadziła do zapóźnień w inwestycjach infrastrukturalnych, cyfryzacji państwa czy przy reformie tak ważnej w kraju branży motoryzacyjnej. Że transformacja energetyczna nie przebiegała tak szybko, jak powinna. Ale swoim spokojem, zapewnieniem Niemcom dobrobytu i stabilności, i tak zyskiwała sympatię, zwłaszcza u tak zwanego „zwykłego Schmidta”. Przejmowanie rządów po kimś takim to bardzo trudne zadanie. Olaf Scholz nie miał doświadczenia w prowadzeniu polityki zagranicznej, był raczej specem od spraw wewnętrznych, społecznych i finansowych. Do tego stanął na czele rządu koalicyjnego trzech partii, których programy nie tylko się nie pokrywają, ale w pewnych sferach wręcz wykluczają. Kluczowe dla jego przyszłości będą problemy wewnętrzne Niemiec, związane przecież ściśle z otoczeniem międzynarodowym, i to, jak sobie z nimi poradzi. Sposób, w jaki zadba o swoich własnych obywateli zadecyduje o kontynuacji jego misji i jego końcowej ocenie.

Niektórzy obywatele już się buntują. Są niezadowoleni z kondycji gospodarki, konieczności zaciskania pasa, rosnących kosztów życia i wychodzą na ulice.

Dzieje się to zwłaszcza na wschodzie kraju i jest w dużym stopniu inspirowane przez Die Linke i AfD, próbujące politycznie kapitalizować społeczne niezadowolenie. Ono jest normalne, bo wszystko

drożeje, mamy kryzys energetyczny. Jeden z liderów SPD już wiosną mówił, że Niemcy „za dużo zajmowali się dostawami broni, a za mało mówili o rosnących kosztach życia”. To podejście jest obietnicą dla niemieckich obywateli, że w tej wojennej zawierusze dostrzeżeni zostaną nie tylko Ukraińcy, ale i Niemcy. Rozsądna strategia, bo trzeba też zająć się swoimi ludźmi, żeby móc skutecznie pomagać Ukrainie. To tak, jak w trakcie awarii w samolocie: najpierw zakładamy maskę sobie, żeby móc pomagać podopiecznym. Jeśli Niemcy przetrzymają trudny okres zmiany, to ostatecznie dobrze na tej trochę przymusowej „transformacji wszystkiego” wyjdą.

JAKUB WIECH

Dziennikarz, publicysta.
Specjalizuje się w tematach związanych
z energetyką. Zastępca redaktora
naczelnego serwisu Energetyka24.com



Kryzys energetyczny wisi nad Europą. „Płacimy za brak naszej transformacji”

Rezygnacja z finansujących kampanię wojenną surowców energetycznych z Rosji doprowadziła do skokowego wzrostu cen paliw, gazu i energii elektrycznej, a eksperci wieszczą, że problemy energetyczne Europy szybko nie znikną. Czy powinno się je rozwiązywać kosztem rezygnacji z polityk klimatycznych? Czy receptą na nagły kryzys jest szeroki powrót do węgla? To pytania do Jakuba Wiecha, dziennikarza i publicysty specjalizującego się w tematyce energetycznej.

Michał Banasiak:

Rekruterzy lubią zadawać pytanie: „gdzie się pan widzi zawodowo za 5 lat?”. To ja trochę je zmodyfikuję i zapytam: „gdzie Pan widzi europejską energetykę za lat 20?”.

Jakub Wiech:

Za 20 lat, czyli w roku 2043, widzę europejską energetykę z jeszcze większym udziałem OZE niż obecnie. Widzę energetykę, która jest stopniowo dekarbonizowana i mam nadzieję, że Europa na stałe przeprosi się z energetyką jądrową. Może będzie to już czas, gdy pojawią się zaawansowane technologie małych reaktorów jądrowych, czy też pierwsze duże projekty dotyczące skutecznego magazynowania energii. Widzę też Europę, która energetyką zajmuje się coraz mniej, ponieważ przez 20 lat ten sektor może przejść naprawdę daleko idącą transformację i być może zajmiemy się przede wszystkim przemysłem i transportem, bo te sektory są bardziej kłopotliwe, jeżeli chodzi o całkowitą dekarbonizację i osiągnięcie neutralności klimatycznej.

Proces dekarbonizacji europejskiej energetyki można by zakończyć happeningiem „Palimy ostatnią bryłkę węgla w Unii Europejskiej”. W którym roku taki happening jest Pana zdaniem realny?

Sądzę, że lata 30. XXI wieku to dla większości państw w Europie ostatnie lata z użyciem elektrowni węglowych. Dla Polski data graniczna to może początek lat 40. Uważam, że wówczas węgla w europejskiej energetyce po prostu nie będzie. Już teraz na naszym kontynencie wydobywają go tylko dwa państwa – Polska i Czechy, przy czym Polska odpowiada za 95 proc. wydobycia. To pokazuje, w którą stronę zmierzamy.

Zostanie z nami jeszcze węgiel koksujący, używany w przemyśle.

Jest potrzebny do produkcji stali, używanej nie tylko w przemyśle zbrojeniowym, ale także w energetyce – do budowy zarówno wiatraków, jak i reaktorów jądrowych. Na odejście od tego węgla trzeba będzie poczekać dłużej.

Dojście do neutralności klimatycznej zajmie nam w Europie dużo więcej czasu?

Neutralność klimatyczna, czyli sytuacja, kiedy gospodarka nie emituje netto gazów cieplarnianych, to trochę bardziej skomplikowana sprawa. Sądzę, że ten wskazywany 2050 rok jest bardzo ambitny – choć nie powiem, że jest on nieosiągalny – i jakbym miał obstawiać, to powiedziałbym, że może raczej lata 50.,

rok 2060. Do 2050 nie zostało nam dużo czasu.



Dzięki zabiegom fiskalnym, dzięki nowemu kształtowi rynku, źródła nisko- i zeroemisyjne biorą ekonomiczną górę nad paliwami kopalnymi. To już się dzieje np. w Europie. Do tego zaczynają również dążyć Chiny, które zdały sobie sprawę już jakiś czas temu, że nie zatrzymają tego pędu zmiany modelu światowego rynku

O potrzebie transformacji energetycznej mówimy od lat. Jest wiele zapowiedzi, pomysłów, ale równie dużo zmian zdania i porzucanych projektów. Kryzys energetyczny związany z wojną i rezygnacją z surowców rosyjskich okaże się przełomowy?

Myszę, że nie powinniśmy traktować kryzysów jako czegoś społecznie przełomowego. Kryzys pandemiczny był tak postrzegany, a w gruncie rzeczy dosyć szybko powróciliśmy do dawnego modelu funkcjonowania, czy to naszych gospodarek, czy w ogóle społeczeństw. Po kryzysie energetycznym z lat 70. XX wieku mieliśmy wyraźny wzrost zainteresowania nowoczesną formą aktywizmu środowiskowego, wzrost zainteresowania alternatywnymi źródłami energii, wzrost zainteresowania odchodzeniem od paliw kopalnych. Po kryzysie energetycznym z lat 2011–2012, związanym z arabską wiosną, mieliśmy rozwój USA jako sprzedawcy ropy i gazu, rozwój technologii szczelinowania, co z punktu widzenia rynku było bardzo pozytywne, bo stanowiło jego stabilizację, np. dla Polski – Polska korzysta z tej rewolucji łupkowej. A zatem uważam, że po tym kryzysie też coś dobrego pozostanie. Sądzę, że to będzie właśnie przyspieszenie dekarbonizacji, przyspieszenie polityk klimatycznych i głębsze zaawansowanie tychże, ukierunkowanych już nie tylko, jako nasza droga do radzenia sobie ze zmianami klimatu, ale także jako nasz sposób na przecinanie pewnych zależności importowych, które wciąż ciążą na naszej gospodarce.

W czasie kryzysu podniosły się głosy, by część polityk klimatycznych zawiesić. Można by rzec odwieczny problem transformacji: odkładamy ją na później, bo mamy do rozwiązania bieżące problemy.

Żaden poważny kraj nie podejmuje działań na rzecz klimatu tylko po to, by ciąć emisje. Za tym zawsze stoi coś jeszcze, najczęściej zmiana paradygmatu gospodarczego. Odchodzimy od rynku opartego na surowcach kopalnych, rozumianych jako najtańsze, do pewnej nowej struktury na zasadzie „kto emituje,

ten płaci”. Dzięki zabiegom fiskalnym, dzięki nowemu kształtowi rynku, źródła nisko- i zeroemisyjne biorą ekonomiczną górę nad paliwami kopalnymi. To już się dzieje np. w Europie. Do tego zaczynają również dążyć Chiny, które zdały sobie sprawę już jakiś czas temu, że nie zatrzymają tego pędu zmiany modelu światowego rynku, bo Europę zaczynają wspierać na tym polu także Stany Zjednoczone i generalnie biznes już przesterował się na nowe tory ekonomiczne. W tym wszystkim jest ogromny wątek geopolityczny. Wątek, który mam wrażenie nie jest dostrzegany przez wielu komentatorów, zwłaszcza w Polsce, uważających politykę klimatyczną za jakiś wymysł pewnego bardzo wąskiego środowiska, kolportowany za pomocą lewicowych organizacji i nic więcej. Nie. To jest oficjalna doktryna ekonomiczna przeważającej części gospodarek świata, bo pięć największych gospodarek, czyli Stany Zjednoczone, Chiny, Unia Europejska, Indie i Japonia idzie w tym kierunku. Obserwujemy zatem dosyć dobrze ukierunkowaną ścieżkę dochodzenia do pewnych celów klimatycznych i kto się nie dostosuje dostatecznie szybko, ten zostanie w tyle.



W Polsce górnictwo jest w gigantycznych tarapatach. Sprzedajemy węgiel, który jest, w normalnych warunkach, nierynkowy. On przegrywa konkurencję nawet z węglem z tak egzotycznych krajów pochodzenia, jak Kolumbia czy Australia.

Jak Polska dziś wypada na tle czołówki?

Polska jest krajem, w którym zachodzi istotne ryzyko, że będzie na uboczu tego wyścigu ekonomicznego, że stracimy konkurencyjność gospodarki, będziemy coraz bardziej poddawani zaburzeniom energetycznym. Zaniedbaliśmy swoje szanse, stawiając na innego konia w tym wyścigu. Konia, który okazał się w ogóle nie startować. Teraz powinniśmy nadrobić braki dzielące nas od średniej unijnej w zakresie dekarbonizacji systemów energetycznych. Moim zdaniem, nawet pomimo tego obecnego kryzysu energetycznego, jednoznacznie musimy iść w kierunku dekarbonizacji.

Póki co daliśmy sobie węglową dispensę. Jesienią ściągaliśmy go skąd się dało, schowaliśmy do szuflady niektóre programy proekologiczne. Ich realizacja wymaga czasu, a kryzys trzeba zwalczać natychmiast. Jest ryzyko renesansu węgla czy to jego przymusowy i ostatni taniec?

Paradoksalnie ta sytuacja pokazuje, jak ogromne są problemy z węglem. Polska, kraj uchodzący za giganta

węglowego, nie jest w stanie mocą swoich kopalń zaspokoić nawet własnych potrzeb. W Niemczech, Holandii, czy we Francji – tam jakieś „węglówki” wróciły do użycia, ale to nie jest ta skala, by mówić o renesansie. Jeżeli miałbym to porównać do jakiegoś antropomorficznego zjawiska, to są to raczej takie wstrząsy przedśmiertne, ostatnie drgawki tego sektora. W Polsce górnictwo jest w gigantycznych tarapatach. Sprzedajemy węgiel, który jest, w normalnych warunkach, nierynkowy. On przegrywa konkurencję nawet z węglem z tak egzotycznych krajów pochodzenia, jak Kolumbia czy Australia. Trudno odzyskiwać nagle wiarę w ten surowiec. Powinniśmy robić wszystko, żeby odsączyć z pozostałego nam zasobu kopalnie trwale nierentowne i inwestować w te moce wydobywcze, które są jeszcze w stanie produkować nam paliwo do elektrowni. My nie odejmiemy od węgla z dnia na dzień. Przez te co najmniej kilkanaście lat będziemy musieli opierać się na źródłach węglowych, więc warto byłoby, żebyśmy w jakiś sposób zaopatrywali je własnymi mocami, bo jeżeli pogłębialibyśmy teraz jeszcze uzależnienie importowe od węgla to – moim zdaniem – byłaby to już totalna degrengolada polskiego sektora węglowego, w który i tak już zainwestowaliśmy ogromne pieniądze. Natomiast Polska w zasadzie podjęła już decyzję o zamknięciu swojego sektora górniczego. Podpisano umowę społeczną między rządem a górnikiem. Wiemy, jakie są perspektywy czasowe w tym procesie. Chcemy do 2040 roku wyjść z węgla i to jest droga słuszną. Myślę wręcz, że ten sektor zwinie się nawet wcześniej, bo po naborach do szkół górniczych widać, że nie ma zainteresowania pracą w nim.

Istnieje obawa, że za transformację przyjdzie nam drogo zapłacić, że nowe źródła energii oznaczają – przynajmniej w krótkiej perspektywie – droższą energię.

My już teraz płacimy, ale za brak naszej transformacji. Płacimy przede wszystkim w cenach za energię elektryczną, ale to jest bardzo płytkie rozumienie tematu. Musimy importować węgiel, bo niestety mamy praktycznie nieruszany udział tego surowca w miksie energetycznym w ciągu ostatnich 30 lat. On się zmieniał oczywiście o kilkanaście punktów procentowych, ale to nie jest ta zmiana, którą powinniśmy wykonać w tym okresie. Dlatego dziś musimy ściągać węgiel zza granicy. Gdybyśmy w ciągu ostatnich 10 lat postawili na dynamiczny rozwój źródeł alternatywnych, udało by się nam zmniejszyć udział węgla w miksie na tyle, by to wydobyć, którym obecnie zajmują się nasze kopalnie, starczyło może nawet dla całego kraju. I wcale nie mówię, że trzeba było od razu wchodzić w atom. Wystarczyło nie blokować wiatraków, żeby utrzymać dynamikę wzrostu

produkowanej przez nie energii sprzed wejścia w życie ustawy odległościowej. Dzisiaj mielibyśmy około 12 GW mocy w tej technologii. Nie mielibyśmy teraz kupować surowca z Australii, Indonezji, Kolumbii, USA czy RPA.

Jeśli chcemy w jakiś sposób złagodzić skutki tej transformacji, to możemy z jednej strony szukać tańszej energii, ale jest też druga droga, mam wrażenie, że trochę niedostrzegana – a może pomijana – czyli oszczędzanie, ograniczenie zużycia energii. Teraz oczywiście jesteśmy do tego niejako przymuszeni na poziomie każdego gospodarstwa i też na poziomie administracji publicznej. Czy w ostatnich latach z tej swojej wygody trochę się nie rozleniwiliśmy? Czy nie moglibyśmy globalnie oszczędzać energię nie tylko w czasie kryzysu, ale na stałe?

Oczywiście jesteśmy rozpieszczeni przez dostatek energii, ale to samo w sobie nie jest niczym złym. Jesteśmy w modelu gospodarczym, który wiąże ilość zużywanej energii z poziomem życia. Bogata Północ, zwłaszcza Europa, zużywa ponad dziesięciokrotnie więcej energii niż państwa afrykańskie. To jest wymiar naszego rozwoju, ta dziesięciokrotność wyznacza barierę między bogatą Północą a biednym Południem. Na razie nie mamy modelu ekonomicznego, który pozwalałby zrezygnować z konsumpcji energii, zachowując przy tym tempo dotychczasowego rozwoju. Oczywiście uważam, że powinniśmy się jako cywilizacja dalej rozwijać, żeby kolejne pokolenia żyły w lepszych warunkach niż poprzednie. Musimy także myśleć o tych, którzy już w tym momencie żyją na znacznie niższym poziomie, czyli na przykład mieszkańcy krajów afrykańskich. Tam rozwój też musi być związany ze wzrostem zużycia energii, zwłaszcza per capita. Tylko żeby to zrobić, to my, jako bogata Północ, musimy wyjść z pewnym programem zapewnienia tym ludziom dostatecznie dużych ilości energii, ale generowanych już w sposób nieobciążający klimatu środowiskowo – inaczej będzie to zagrożenie dla naszych celów klimatycznych. Nie mamy moralnego prawa, by im powiedzieć: „my się rozwijaliśmy przez 150 lat dzięki paliwom kopalnym, ale wy nie możecie, bo zniszczycie nam politykę klimatyczną”.

Jaka jest na to odpowiedź?

Powinniśmy zrobić wszystko, żeby inwestować na przykład w czyste moce w Afryce, czy w Ameryce Południowej, w Azji Południowej. To wszystko się powoli dzieje, tylko niestety za tym też idą poszczególne argumenty czy problemy geopolityczne. Jeżeli spojrzymy na Afrykę, to tam inwestują głównie Rosja i Chiny. Chiny inwestują bardzo dużo na

przykład w elektrownie jądrowe. Dlatego uważam, że powinniśmy zacząć przejmować inicjatywę, bo to jest nie tylko w naszym interesie geopolitycznym, ale po prostu w interesie ludzkim, jako swego rodzaju zadośćuczynienie dekadom kolonizacji, czym się przede wszystkim powinny zająć byłe mocarstwa kolonialne. Będzie to też pożyteczne dla wszystkich celów, które sobie stawiamy jako rozwijająca się cywilizacja.



Liderem inwestycji w OZE i atom od lat są Chiny, a zatem ten kraj, który jest uważany za państwo odstające od polityk klimatycznych. Jeśli spojrzymy na udział węgla w chińskiej energetyce, to zobaczymy, że on spada.

Wróć do pytania o oszczędzanie, lecz trochę je przeformułuję. Czy gdyby ta bogata Północ zaczęła się samoograniczać, nie byłoby nam łatwiej z transformacją?

Nie podpisuję się pod tym, że teraz powinniśmy dokonać masowego samoograniczenia. Oczywiście w czasie kryzysu ograniczenie to jest niezbędne, ale dlatego, iż wiemy, że nie starczy nam energii dla wszystkich, więc tutaj pewne działania zaradcze są obowiązkowe. Ale przy założeniu powrotu do stanu sprzed 2019 roku, takie samoograniczenia będą niewykonalne. Ludzie bardzo łatwo przyzwyczajają się do wygody. Człowiek znacznie chętniej będzie walczył o to, co już ma i bronił tego, niż starał się osiągnąć coś, czego nie ma albo co jest dla niego pewną abstrakcją. Myślę, że większość wyborców w Europie czy w Stanach Zjednoczonych będzie bronić swojego komfortu np. jazdy samochodem, możliwości bezkarnego włączania świateł, czy innych sprzętów domowych niż dążyć do tego, żeby teraz samoograniczyć się w imię, wciąż dla wielu abstrakcyjnej, zmiany klimatu. Powinniśmy dążyć do tego, żeby zapewnić wszystkim tyle energii, ile będzie potrzebne i żeby ta energia była produkowana przy minimalnym śladzie środowiskowym.

Prezydent Duda mówił na szczycie klimatycznym COP27 w Szarm El-Szejk, żebyśmy nie byli klimatycznymi hipokrytami. Żebyśmy dążąc do swoich celów klimatycznych, nie robili tego poprzez wyrzucanie wszystkich fabryk do Chin, Indii czy Bangladeszu. Zresztą za chwilę może się okazać, że Chiny, które też mają postawiony swój cel neutralności węglowej, zaczną przenosić kominy do Afryki i powiedzą: „mamy czyste ręce i jesteśmy eko”. Jak zamiast takiej „psychologii”, żeby za wszelką cenę

na papierze sprostac wszystkim celom, faktycznie je osiagac?

Przede wszystkim, ten problem „ucieczki emisji” jest już dosyć dobrze zbadany na płaszczyźnie Unii Europejskiej. Rozwiązaniu tej kwestii ma służyć Carbon Border Adjustment Mechanism, który z jednej strony zastępuje tę ucieczkę przemysłu z Europy, a z drugiej nie pozwoli grać państwom trzecim niską ceną produkcji, zasadzoną głównie na wysokim udziale źródeł takich jak węgiel, czyli spalanych bez norm środowiskowych. A zatem, to się już powoli rozwiązuje. Mamy pewne przykłady dotyczące chociażby ucieczki przemysłu stalowego, które mogą posłużyć jako case studies. Co więcej, duża część światowych gospodarek już teraz powiela mechanizmy wdrażane przez Unię Europejską, także następuje pewna unifikacja. Dla przykładu, Chiny wdrożyły swój własny system handlu emisjami wzorowany na europejskim ETS. Działa od września 2021 roku i myślę, że można to w jakimś czasie zacząć ujednoczać już w ujęciu globalnym, co rozwiązałoby właśnie ten problem ucieczki emisji.

Byłaby na to zgoda polityczna? Przecież mechanizm ucieczki jest bardzo przydatny, stąd jego powszechność.

Myślę, że taka zgoda jest powoli budowana, przynajmniej w kręgu tych największych gospodarek, które deklarują cele neutralności klimatycznej i starają się obniżyć emisje, czy inwestują w nowe źródła energii. Co ważne, liderem inwestycji w OZE i atom od lat są Chiny, a zatem ten kraj, który jest uważany za państwo odstające od polityk klimatycznych. Jeśli spojrzymy na udział węgla w chińskiej energetyce, to zobaczymy, że on spada. Choć nowe bloki węglowe oczywiście są budowane, a Chiny wciąż pozostają liderem energetyki węglowej, to udział węgla spada, ponieważ tamtejsze jednostki węglowe są ustawione na re powering – zamykamy stare „węglówki”, otwieramy nowe. A zatem nie wzrasta już udział tych mocy w strukturze wytwórczej chińskiej energetyki. Choć jest ryzyko, że Chiny spróbują w pewnym momencie przerzucić wysokoemisyjny przemysł do Afryki i uczynić z niej „Chiny Chin”.

Politycy wyborców słuchają różnie, ale na pewno słuchają ich wtedy, kiedy są wybory, a wyborcy, jak wiadomo, głosują portfelem. Czy nie ma więc takiego zagrożenia, w skali całego globu, że politycy będą próbować zbijać kapitał na zaprzeczaniu potrzebie transformacji i przekonywaniu, że paliwa kopalne mogą być tańsze?

Oczywiście to jest zagrożenie. Pewne wahania obserwowane były np. za prezydentury Donalda

Trumpa. Ale nawet mimo jego działań dotyczących wskrzeszenia węgla, wyjścia USA z porozumienia klimatycznego, czy zejścia z limitami wewnętrznymi dla węglowych jednostek wytwórczych, nie udało mu się zatrzymać spadku udziału węgla w energetyce i Stany Zjednoczone zaczęły tracić ten surowiec w swojej strukturze energetycznej na rzecz czystych źródeł: energetyki jądrowej, źródeł odnawialnych, ale też gazu, który tam pełni rolę „wypychacza” węgla. A więc widzimy tu pewien trend, który jest coraz mniej uzależniony od działań konkretnych polityków, bo jest trendem globalnym. Myślę, że kluczowe koszty, które możemy ponieść, to raczej koszty walki z tym trendem. Polska np. teraz, patrząc przez pryzmat normalnych warunków, tych sprzed cienia pandemii, wojny czy kryzysu energetycznego, płaci nie za swoją walkę ze zmianą klimatu, tylko za walkę z walką ze zmianą klimatu. To przez takie podejście nie transformowaliśmy swojej energetyki, przez co jest ona trzykrotnie bardziej emisyjna od średniej unijnej. I to dlatego nasze rachunki za prąd skaczą w górę wraz ze wzrostem opłat za prawa do emisji.

KRZYSZTOF WOJCZAL

Prawnik, publicysta,
komentator geopolityczny. Autor książki
„Trzecia dekada. Świat dziś i za 10 lat”



Nie tylko Rosja. Jakie konflikty mogą wkrótce zagrozić Europie?

Agresja Rosji na Ukrainę zaskoczyła wielu. Skala i brutalność tej inwazji – właściwie wszystkich. Nawykła do spokoju i rozwiązywania sporów na drodze dialogu Europa, z dnia na dzień stała się świadkiem i co najmniej pośrednim uczestnikiem krwawego i długiego konfliktu. Skąd do Europy może nadejść kolejne zagrożenie? Jak się na nie przygotować? Swoją prognozą dzieli się komentator geopolityczny Krzysztof Wojczal.

Michał Banasiak: Rosja to dziś jedyne zagrożenie dla Europy?

Krzysztof Wojczal:

Płynące z samego kontynentu tak, ale za jakiś czas mogą obudzić się demony na Bliskim Wschodzie, a to będzie bardzo mocno wpływało na ogół Europy. Bierzemy z Zatoki Perskiej surowce energetyczne, a wojna tam może oznaczać wstrzymanie dostaw. Wyobraźmy sobie, że to się dzieje w momencie, gdy nie ma dostaw z Rosji. Mamy wtedy w zasadzie collapse energetyczny w Europie. I to taki, na który nie da się szybko odpowiedzieć.

Po rosyjskiej agresji na Ukrainę delegacje kilku europejskich państw udały się do Zatoki, by negocjować nowe kontrakty na gaz i ropę. Wygląda na to, że wierzą w bezpieczeństwo dostaw z tego regionu.

Przy zakręceniu rosyjskich kurków nie ma innego wyjścia. Zwłaszcza, że potrzebowaliśmy i potrzebujemy nowych dostaw na już. Tymczasem na Bliskim Wschodzie lada moment znów może przejść huragan polityczny. Coś à la druga arabska wiosna. I też może skończyć się powstaniem quasi-Państwa Islamskiego, którego przecież nie udało się zlikwidować, a jedynie zneutralizować. Zeszło pod ziemię, tli się i czeka na swoją kolejną szansę.

Przyczynkiem do arabskiej wiosny były protesty związane z rosnącymi cenami żywności. Co miałyby podpalić lont tym razem?

To samo. Z powodu wojny na Ukrainie znów mogą się pojawić problemy z dostępnością żywności. Wtedy oczywiście doszły to tego duże interesy, bo gdy już doszło do zamieszania, każdy próbował ugrać swoje politycznie. Ale status quo jest bardzo kruchy i de facto nikt nie jest z niego zadowolony. Kurdowie wciąż nie mają swojego państwa, Turcy nie rozwiązali swoich problemów kurdyjskich, Izrael nadal czuje się zagrożony irańskimi wpływami, które przez Irak i Syrię sięgają aż pod izraelską granicę. Irak to dziś bomba polityczna. Ogromna niestabilność wewnętrzna zaraz przełoży się na gospodarkę. A Unia jako całość, ani żadne państwo członkowskie nie posiadają siły i potencjału, by niejako wejść w buty Amerykanów i trzymać porządek na Bliskim Wschodzie.

Wojna nie jest czymś nowym, bo nawet w XXI wieku kilka takich mieliśmy i mamy, żeby wspomnieć tylko Syrię, Jemen czy Górski Karabach. Ale nowe jest to, że niemal bezpośrednio nas dotyka. To już jest temat na pasek w serwisach informacyjnych, ale na pierwsze strony gazet, czołówki serwisów.

To permanentnie zmieni nasze myślenie?

Wojna na Ukrainie w końcu się skończy, ale poczucie zagrożenia z nami zostanie. Niezależnie od finału tego konfliktu. Albo – w gorszym scenariuszu – wciąż będziemy mieć na wschodzie grożącą nam Rosję, albo – w nieco lepszym – bezpośredniego zagrożenia ze strony Rosji nie będzie, ale ją samą dotknie chaos wewnętrzny. I ten chaos będzie budził niepokoje w Europie Środkowo-Wschodniej i wpływał na bezpieczeństwo w tym regionie. A przecież sytuacja Ukrainy, Litwy czy Białorusi bezpośrednio oddziałują na nasze bezpieczeństwo. Widzimy i odczuwamy to teraz.



My, Polska, powinniśmy stawiać przede wszystkim na kraje bałtyckie i Rumunię. Do tego zaprosić Ukrainę. Taki widzę trzon politycznego projektu, opartego o silne siły zbrojne.

Wojna Rosji z Ukrainą sprowokowała szereg krajów, w tym Polskę, do ogromnych zakupów wojskowych. Zbroimy się, żeby odstraszać?

Żeby skutecznie odstraszyć przeciwnika, trzeba się zbroić. Należy dysponować narzędziami neutralizującymi zagrożenia, więc silna, dobrze wyposażona armia jest niezbędna. Przeciwnik musi wiedzieć, że zostanie powstrzymany. Trzeba jeszcze przez realnym konfliktem przekonać go, że atak nie ma sensu i temu służyć zbrojenia.

Do tej pory bardziej ufaliśmy soюзom. Nie mówię tylko o Polsce, ale o większej liczbie państw europejskich, które nie były chętne łożyć na obronność. Pretensje miał o to np. Donald Trump.

Budowa architektury bezpieczeństwa regionu to druga, obok zbrojeń, droga. My, Polska, powinniśmy stawiać przede wszystkim na kraje bałtyckie i Rumunię. Do tego zaprosić Ukrainę. Taki widzę trzon politycznego projektu, opartego o silne siły zbrojne. Jeśli będziemy dysponować silną armią, łatwiej będzie namawiać do współpracy politycznej, bo będziemy mogli oferować bezpieczeństwo. A jeśli będzie współpraca polityczna, to automatycznie stworzą się dobre warunki dla biznesu. Wszystko się łączy. I dalej, jeśli zwiążemy ze sobą gospodarczo Ukrainę czy Litwę, tym łatwiej będzie oddziaływać politycznie na te kraje. Wszystko się zazębia i prowadzi do powstania trwałego bloku. Nie chodzi o robienie konkurencji dla Unii Europejskiej czy podważanie wiary w NATO, ale o stworzenie takiej miękkiej poduszki bezpieczeństwa,

która stanowiłaby dla nas dodatkowe gwarancje.



Nawet gdybyśmy w przyszłości mieli walczyć z tym samym przeciwnikiem, Rosją, jego cele strategiczne byłyby pewnie zupełnie inne niż na Ukrainie. Tam Rosjanie dążą do zajęcia terytorium, a w Polsce chodziłoby od samego początku o wyrządzenie dużych zniszczeń.

Dr Jacek Bartosiak powiedział na jednej z debat, że amerykańskie odstraszenie nie powstrzymało Rosji przed wejściem na Ukrainę. Dlaczego?

To tylko jedna z możliwych interpretacji. Inna wskazuje, że Rosja została wciągnięta w wojnę, której nie jest w stanie wygrać. I jak patrzymy na to, co się dzieje, to miałoby to sporo sensu. Amerykanie byli ostatnio w fazie przegrupowania sił. Opuścili Afganistan, w zasadzie odpuścili Bliski Wschód. Odczytuję to jako konsolidację siły, zebranie kart, żeby móc w każdej chwili użyć ich w innych miejscach świata. Według mnie chcą wygrać rywalizację i z Chinami i z Rosją, więc utopienie Rosjan w wykrwawiającym konflikcie z Ukrainą jest im na rękę.

Nie da się przełożyć sytuacji z frontu ukraińskiego jeden do jednego na jakikolwiek inny front. Ale pewne lekcje wojskowe możemy wyciągać. Zwłaszcza, że wojna trwa już długo, użyto tam dużo bardzo starego, ale i bardzo nowoczesnego sprzętu, różnych taktyk. Warunki pogodowe i terenowe też są różne. Można na tej bazie stworzyć jakiś podręcznik współczesnej wojny?

Rodzaje uzbrojenia, taktyka, to wszystko jest zbyt zależne od konkretnego wydarzenia na polu walki, więc rzeczywiście nie przeniesiemy tego jeden do jednego. Nawet gdybyśmy w przyszłości mieli walczyć z tym samym przeciwnikiem, Rosją, jego cele strategiczne byłyby pewnie zupełnie inne niż na Ukrainie. Tam Rosjanie dążą do zajęcia terytorium, a w Polsce chodziłoby od samego początku o wyrządzenie dużych zniszczeń. Poza tym na Ukrainie walczą armie dysponujące sprzętem produkowanym często w latach 80., 70., albo i wcześniej. To są przestarzałe armie w porównaniu do tych z Zachodu. Natomiast obserwujemy też nowe środki i rozwiązania, które doskonale się sprawdzają i które można by wcielić i u nas. Przede wszystkim nie można się nastawiać, że jakikolwiek sprzęt, choćby najnowszy, sam wygra nam wojnę. Trzeba budować armię, która ma całe spektrum narzędzi, która jest elastyczna. Sprzęt ciężki, lekki, systemy raketowe, drony – trzeba być gotowym na

każdy wariant i na każdy mieć odpowiedź. A najlepiej kilka odpowiedzi. Jeśli okazuje się, że przeciwnik jest w stanie zneutralizować nasze bezzałogowce – wyciągamy z rękawa coś innego. Ta wielość zagrożeń i używanych środków to dobra lekcja z Ukrainy.

Widzimy też, że ta szeroko zakrojona w wielu państwach wymiana sprzętu jest koniecznością.

Stary sprzęt zawsze przegra z nowoczesnym. Będzie bardziej zawodny przy jednoczesnym mniejszym potencjale.

Zmieniła się też rola samego żołnierza. Jeśli dobrze go wyposażymy, jest w stanie w pojedynkę zlikwidować czołg.

Albo namierzyć cel dla bezzałogowca czy artylerii. Rola lekkiej piechoty się zmieniła i teraz w większej mierze odpowiada właśnie za wskazywanie celów dla artylerii, lotnictwa czy nawet sprzętu ciężkiego. Żołnierz piechoty jest w stanie zmnożyć potencjał czołgu, działa czy samolotu. Zresztą widzimy, że wszystkie formacje bojowe muszą być bardziej uniwersalne. Co nie oznacza, że można zrezygnować np. z piechoty czy kawalerii. Pod tym względem pole walki się nie zmienia. Słyszę nieraz, że kawaleria to dziś przeżytek. Ale zaraz, przecież dziś też mamy kawalerie, tyle że opartą o czołgi czy śmigłowce. Środki są nowe, ale schemat nie zmienia się od tysięcy lat. Kawaleria, lekka piechota, artyleria, którą kiedyś stanowili łucznicy. Każda formacja jest ważna. Teraz oczywiście są nowe, bo doszła strefa cyber czy kosmos. Ale to nie oznacza, że na ich rzecz można poświęcić inne, bo każda ma do odegrania swoją rolę i żadna nie zastąpi innej. No bo jak bez czołgów prowadzić ofensywę lądową, przełamywać linie obrony, zdobywać kolejne przyczółki? Potrzebujemy współpracy wszystkich formacji. Na tym polega dzisiejsze *multi-domain battle*.



Wojsko rosyjskie do tej pory poniosło już tak dotkliwe straty, a wojna obnażyła tyle braków i słabości tej armii, że wojna z NATO byłaby dla Rosji samobójstwem. Zwłaszcza, że takie starcie wyglądałoby zupełnie inaczej niż wojna z Ukrainą.

Na dzisiejszym polu walki jest też dużo technologii, która potrafi decydować o przebiegu wojny. Mam na myśli zdjęcia satelitarne czy dane wywiadowcze zbierane przez drony.

Dodałbym tu jeszcze konieczność spięcia wszystkich

używanych technologii w jeden system, jedną architekturę komunikacyjną dla wojska. Jeśli posiadamy informacje z satelity, środków lotniczych, od piechoty, z radarów, itd., to nie może to wszystko funkcjonować oddzielnie. Musi być jeden system, żeby dowództwo otrzymywało jak najpełniejszy obraz pola bitwy. To pozwala na podejmowanie decyzji szybciej, sprawniej i skuteczniej. Zmniejsza margines błędu i buduje przewagę nad przeciwnikiem.

Ukraina bardzo szybko dostała ogromne wsparcie NATO. Ale formalnie to wciąż nie jest wojna NATO. Taki scenariusz jest dziś realny?

Ryzyko wybuchu otwartego konfliktu Rosji z NATO oceniam na 1 proc. I to co najwyżej 1 proc. Wojsko rosyjskie do tej pory poniosło już tak dotkliwe straty, a wojna obnażyła tyle braków i słabości tej armii, że wojna z NATO byłaby dla Rosji samobójstwem. Zwłaszcza, że takie starcie wyglądałoby zupełnie inaczej niż wojna z Ukrainą. NATO posiadałoby zdolność przełamania rosyjskich systemów przeciwlotniczych i całkowitą, totalną przewagę w powietrzu. Lotnictwo mogłoby w zasadzie przeważać o zwycięstwie NATO, zanim w ogóle doszłoby do starcia lądowego.

Wisi nad nami widmo jeszcze jednego konfliktu: o Tajwan. Wydaje się, że nikomu na nim nie zależy, ale w ostatnich miesiącach obserwowaliśmy bezprecedensowe napięcia wokół wyspy.

Nie sądzę, żeby doszło tu do starcia militarnego. Stany wciąż są znacznie silniejsze od Chin i Chiny nie mają żadnego interesu, by prowadzić wojnę z takim przeciwnikiem. Wolą kontynuować wyścig gospodarczy, gdzie znacznie nadgoniły, ale też jeszcze nie zbudowały przewagi. Ważny jest dla nich każdy rok spokoju. Każdy rok, w którym mogą się rozwijać, eksportować i importować, bo to ich przybliża do momentu, gdy będą silniejsi od USA. Konflikt o Tajwan zaburzyłby ten dobry dla nich klimat, bo z pewnością mielibyśmy odcięcie części szlaków gospodarczych. A to by oznaczało nie tylko brak możliwości sprzedaży towarów, ale i kupna surowców. A przecież np. gaz płynie do Chin z USA, Kanady czy Australii. W przypadku konfliktu te kierunki natychmiast się zamykają i Chiny mają duży problem. Może nawet gospodarczy krach.

ANDRZEJ KOHUT

Amerikanista, ekspert Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego, specjalista ds. nowych mediów w Ośrodku Studiów Wschodnich. Twórca podcastu „Po amerykańsku” i gospodarz „Przeglądu zagranicznego” w RMF24. Autor książki „Ameryka. Dom Podzielony”



Fot. Mikołaj Starzyński

„Europa potrzebuje obecności Stanów, Stany potrzebują silnej Europy”

Militarne i finansowe zaangażowanie USA w wojnę rosyjsko-ukraińską dowodzi, że głosy o przekierowaniu całej uwagi Waszyngtonu na Indo-Pacyfik są przesadzone. Jednak proces politycznego i wojskowego przegrupowania Stanów Zjednoczonych trwa. Czy Europa powinna się tym martwić? Na jakie rozstrzygnięcie wojny w Ukrainie liczą Amerykanie? Co dla państw europejskich oznaczałby powrót do Białego Domu Donalda Trumpa? M.in. na te pytania odpowiada amerykańista Andrzej Kohut.

Michał Banasiak:

Kiedy amerykańscy żołnierze opuścili Afganistan, niektórzy ogłaszali koniec epoki pilnowania przez USA porządku na świecie. Mówili, że Stany Zjednoczone utraciły możliwość operowania wszędzie, gdzie chcą i na swoich warunkach. Ale potem przyszła Ukraina i okazało się, że Stany wciąż rozdają karty przy geopolitycznym stoliku. To jak dziś jest z tym zainteresowaniem USA meblowaniem świata?

Andrzej Kohut:

Okres, w którym Stany mogły pretendować do roli światowego policjanta czy pilnującego porządku w każdym zakątku żandarma, minął. Nie ma powrotu do modelu znanego nam z lat 90. i wczesnych 2000., czyli czasów Clintona i młodego Busha. Nie dlatego, że Stany są jakimś stetryczalym dziadkiem, zapominającym w którą stronę iść, ale z uwagi na zmianę całej światowej układanki. Dziś wszystkie państwa muszą funkcjonować inaczej. Natomiast według mnie przedwczesne są głosy mówiące, że Ameryka wycofa się w jakiś rodzaj izolacjonizmu. W samych Stanach co jakiś czas pobrzmiwają takie propozycje, ale są na marginesie. Na poziomie dwóch dzielących władzę partii politycznych nie ma postulatu izolacji, okopania się i zajęcia tylko kontynentem amerykańskim.



W dokumentach strategicznych przewijają się dwa państwa, mogące zagrazać obecnemu, korzystnemu dla USA, systemowi. To oczywiście Chiny i Rosja.

Czyli Afganistan był tylko przegrupowaniem sił?

Trzeba skupiać zasoby na tym, co najistotniejsze. W dokumentach strategicznych przewijają się dwa państwa, mogące zagrazać obecnemu, korzystnemu dla USA, systemowi. To oczywiście Chiny i Rosja. Chiny jako rywal długoterminowy, potencjalnie mogący być największym problemem dla Stanów od czasów Związku Radzieckiego. A Rosja natomiast jako rywal słabszy, tracący na znaczeniu w długiej perspektywie, ale kłopotliwy tu i teraz. Globalna gra się zmienia, ale ruchy Amerykanów nie oznaczają ich zamykania się. Ani przez chwilę nie było to brane pod uwagę.

Czy przy złożoności dzisiejszego układu geopolitycznego mogliby sobie na to pozwolić?

Amerykanie mają interesy na całym świecie i muszą być aktywni, żeby ich pilnować. Bez tego korzystna dla nich układanka mogłaby się rozsytać, bo świat

nie stoi w miejscu. Chiny bardzo urosły w siłę. Rosja odzyskała co najmniej regionalne znaczenie. Dlatego polityka zagraniczna to jeden z obszarów, gdzie Demokraci i Republikanie są stosunkowo zgodni. Polityka Joe Bidena względem Chin nie różni się od polityki Donalda Trumpa. Panuje ponadpartyjny konsensus, że USA powinny hamować chińskie ambicje. Ale ich stanowiska pokrywają się też w innych kwestiach. Obie ostatnie administracje prezydenckie uważają za konieczne ograniczenie zaangażowania na tzw. teatrach peryferyjnych. Wyjście z Afganistanu zapoczątkował Donald Trump, a zakończył Joe Biden.



Polityka zagraniczna to jeden z obszarów, gdzie Demokraci i Republikanie są stosunkowo zgodni. Polityka Joe Bidena względem Chin nie różni się od polityki Donalda Trumpa. Panuje ponadpartyjny konsensus, że USA powinny hamować chińskie ambicje.

Europie nie grozi wpadnięcie do szuflady z napisem „peryferia”?

Widzimy reakcję Waszyngtonu na konflikt rosyjsko-ukraiński. Administracja demokratyczna na pewno zmieniła podejście do Europy, która w pewnym momencie mogła czuć się nieco zapomniana. Ale ta zmiana nie oznacza rewolucji. Zarówno Demokraci, jak i Republikanie nadal są przekonani, że Europa powinna w większym stopniu polegać na sobie w kwestiach bezpieczeństwa. Przeznaczać na bezpieczeństwo większe środki. Teraz mamy partnerskie negocjacje. Donald Trump wchodził w kolizje z europejskimi przywódcami.

Mówił: „podnieście wydatki na obronność albo zabiorę amerykańskich żołnierzy”.

I pod koniec swojej prezydentury faktycznie próbował to zrobić. Joe Biden szuka porozumienia. Stara się odbudowywać nadwątlone relacje, chociażby z Niemcami. A jednocześnie stara się wspomóc Europę. Tak było pod koniec 2021 roku, gdy starał się utrzymać Rosję w pewnych ryzach. W Genewie zarysowywał Putinowi czerwone, nieprzekraczalne linie.

Pod koniec 2022 roku mieliśmy w Stanach midterms, czyli wybory połówkowe. Mogło to oznaczać zmianę układu sił w Izbie Reprezentantów i w Senacie. Śledziliśmy to z lekkim niepokojem o tyle, że z obozu Republikanów docierały do nas jastrzębie głosy nawołujące do wycofania wsparcia dla Ukrainy.

Republikanie przegrali, a dolary i broń wciąż płyną na Ukrainę.

W samych Stanach temat pomocy dla Ukrainy nie był szczególnie obecny. Dyskutowało się o tym u nas, nasze media nagłaśniały pojedyncze wypowiedzi niektórych polityków.

Bo to dla nas bardzo ważny temat i jesteśmy wrażliwi na każde głosy o przerwaniu amerykańskiego wsparcia.

Dla nas to temat priorytetowy, natomiast amerykańskie kampanie zawsze kręca się wokół kwestii wewnętrznych i teraz też tak było. Politycy mówili o problemach gospodarczych, wysokiej inflacji.



Nie można już liczyć, że Rosję uda się utrzymać w granicach jakiegoś układu. Ani tym bardziej, że będziemy mieć „odwróconego Nixona” i Rosja sprzymierzy się z USA przeciwko Chinom. Interesy rosyjskie i amerykańskie są przeciwstawne, a rosyjskie i chińskie – zbieżne: każde z tych państw chciałoby uzyskać regionalną dominację, wypychając USA.

W sam raz, żeby populiści krzyknęli: „u nas kryzys, a oni ślą miliardy na kolejną daleką wojnę”.

Owszem. Tyle tylko, że liczby natychmiast obalają taką narrację. Pomoc Ukrainie jest niezwykle hojna – hojniejsza niż w innych tego typu przypadkach. Ale te dotychczas przekazane 60 mld dolarów to zupełnie inny rząd wielkości niż biliony dolarów, które są przeznaczane na krajowe programy Joe Bidena.

Zagrożenia dla amerykańskiego finansowania Ukrainy nie ma?

Póki co nie. Ale jeśli problemy gospodarcze będą narastać, jeśli Stany wejdą w głęboką recesję i wróci bezrobocie, skłonność Amerykanów do słuchania radykalnych głosów będzie rosła. Pomoc Ukrainie jest oczywiście tematem politycznym, ale od początku rosyjskiej inwazji amerykańskie wsparcie ma charakter ponadpartyjny. Prawie wszystkie pakiety pomocowe zostały przegłosowane siłami obu partii. Również badania opinii społecznej pokazują, że oba elektoraty chcą kontynuacji tego wsparcia. 2/3 badanych uważa, że Ameryka powinna wspierać Ukrainę do końca, czyli do wyparcia rosyjskich żołnierzy z terenu Ukrainy.

A jaki koniec tej wojny najchętniej widziałyby

administracja prezydenta Bidena? Mówi się, że Joe Biden, człowiek ukształtowany politycznie w czasach zimnej wojny, cały czas widzi Moskwę jako wroga, tyle że pod innym szyldem. Amerykanom wystarczyloby wycofanie się Rosji, czy może chcieliby gospodarczego pognębienia tego kraju?

W oczach Amerykanów sukcesem na pewno byłby jakiś rodzaj trwałego pokoju i odzyskanie przez Ukrainę kontroli nad całym terytorium. Można dywagować, czy ta kontrola ma dotyczyć obszaru sprzed 2014 roku, czy tylko sprzed 24 lutego 2022 roku. Natomiast na tak duże zaangażowanie Stanów w tę wojnę trzeba spojrzeć w wymiarze globalnym. Dzisiaj najważniejszym przeciwnikiem USA są Chiny. Przez jakiś czas politykom amerykańskim, w tym Joe Bidenowi, wydawało się, że na czas tej strategicznej rywalizacji z Pekinem z Rosją można się jakoś ułożyć. Że gdy wyznaczy się jej czerwone linie, to Rosja nie będzie sprawiać kłopotów i taki swego rodzaju pakt o nieagresji pozwoli skupić się na Indo Pacyfiku. Ale lutowy ruch Putina przekreślił takie myślenie. Nie można już liczyć, że Rosję uda się utrzymać w granicach jakiegoś układu. Ani tym bardziej, że będziemy mieć „odwróconego Nixona” i Rosja sprzymierzy się z USA przeciwko Chinom. Interesy rosyjskie i amerykańskie są przeciwstawne, a rosyjskie i chińskie – zbieżne: każde z tych państw chciałoby uzyskać regionalną dominację, wypychając USA.

Co ta zmiana myślenia w Waszyngtonie oznacza?

Wydaje się, że obecna administracja postrzega Chiny i Rosję jako nieformalny sojusz, z którym prędzej czy później trzeba będzie sobie poradzić. Nie można go ignorować, bo gdyby USA zostały zmuszone do zaangażowania się w bezpośredni konflikt z Chinami, Rosja mogłaby mieć wolne ręce do swoich działań w Europie. A to z kolei oznaczałoby albo konieczność rozproszenia sił amerykańskich, albo ogromny problem dla Europy. Amerykanie wykorzystują więc nadarżającą się okazję i osłabiają Rosję.

Liczą na realną zmianę systemu? Na mityczną demokratyzację Rosji?

Chodzi raczej o to, by ten konflikt okazał się dla Rosji czymś takim, czym był Afganistan dla Związku Radzieckiego. Oczywiście finalnie Afganistan przyczynił się do upadku ZSRR, ale tu na zmianę systemu raczej nikt nie liczy. Za to długi, wyczerpujący konflikt wypłukałby Rosję z zasobów militarnych. Bardzo osłabiłby gospodarkę. W związku z czym wszelkie imperialne plany Rosji zostałyby powstrzymane na 10-15 lat, bo Rosjanie zwyczajnie nie mieliby na nie środków.



Bez USA, NATO nie mogłoby dziś funkcjonować i spełniać swoich zadań. Gdyby nie amerykańskie zaangażowanie, pomoc Europy dla Ukrainy mogłaby być niewystarczająca.

Amerykanie nie boją się, że tak osłabiona Rosja stałaby się łatwym kąskiem dla Chin? Że w pewien sposób zostałaby na Chiny skazana?

Przed 24 lutego faktycznie myśleli, że nie ma co za bardzo naciskać, bo to może pchać Rosję w objęcia Pekinu. Ale teraz uważają, że Rosja już wpadła w chińskie ramiona. Możemy rozmawiać o głębokości tej zależności, ale już jej nie rozbijemy, bo zależy na niej obu stronom. Paradoksalnie zbyt słaba Rosja nie jest też na rękę samym Chinom. Może w dodatku trzeba by ratować ją przed wewnętrznym rozpadem albo – na co wskazuje dynamika ostatnich wydarzeń – wspierać w utrzymaniu wpływów na obszarze poradzieckim.

Duża część amerykańskiej agendy zagranicznej w wymiarze militarnym jest realizowana poprzez NATO, jak chociażby umieszczenie Chin w dokumentach natowskich. Sojusz jest podporządkowany Waszyngtonowi?

Niektórzy wyzłościwiają się, że Chiny średnio można zakwalifikować do obszaru atlantyckiego, no ale skoro Amerykanie tak chcieli, to Europa musiała to zaakceptować. I to prawda. Ale Amerykanie są kluczowym elementem tej układanki. Bez USA, NATO nie mogłoby dziś funkcjonować i spełniać swoich zadań. Gdyby nie amerykańskie zaangażowanie, pomoc Europy dla Ukrainy mogłaby być niewystarczająca. Amerykański parasol sprawia, że Europejczycy mogą czuć się bezpieczniejsi.

W pierwszych tygodniach rosyjskiej inwazji na Ukrainę mówiło się, że może ona sprawić, że Niemcy, czy też Francuzi, wezmą na siebie większą odpowiedzialność za bezpieczeństwo w Europie. Kanclerz Scholz mówił o 100 mld euro na Bundeswehrę, a jeszcze nie wiedzieliśmy, że Amerykanie tak mocno zaangażują się we wsparcie Ukrainy. Trudno sobie wyobrazić rezygnację z tego amerykańskiego parasola.

Europa potrzebuje obecności Stanów. Płyną do nas sygnały, że ich zaangażowanie może być zmniejszane, ale ten proces powinien być kontrolowany i konsultowany z sojusznikami. Donald Trump uderzył pięścią w stół i chciał z dnia na dzień wycofać amerykańskich żołnierzy z Niemiec. A Europie potrzeba na to czasu. USA z kolei muszą czuć, że

obecność wojskowa w Europie im się opłaca. I na razie tak jest, bo nie zawahały się użyć na Ukrainie naprawdę radykalnych środków.

Ta Europa powinna być zdaniem Stanów antychińska?

Wystarczy, że będzie partnerem USA w rywalizacji z Chinami. A do tego potrzebna jest Europa dająca od siebie więcej w kwestiach bezpieczeństwa, ale i silniejsza gospodarczo. Jesteśmy dla Stanów cennym partnerem, bo – choć to nieco wyświechtane sformułowanie – mamy podobne wartości, ideały, mamy podobne spojrzenie na zasady prowadzenia polityki międzynarodowej. Europa może na tym zyskać, bo gdyby faktycznie doszło do gospodarczego decouplingu, to w Europie, zwłaszcza Środkowo-Wschodniej, mogłyby wylądować niektóre fabryki. To tu przesunęłyby się niektóre szlaki handlowe.

Politykę zagraniczną USA w dużej mierze definiuje osoba gospodarza Białego Domu. Zwłaszcza, gdy jest nim Donald Trump. Oficjalnie ogłosił, że zamierza ubiegać się o prezydenturę w 2024 roku. Słychać jednak głosy, że Partia Republikańska może mieć inne plany. Dlaczego?

Do wyborów jeszcze daleko, ale jesteśmy w punkcie, gdzie pozycja Donalda Trumpa wydaje się być słabsza, niż jeszcze całkiem niedawno. O dziwo przetrzymał rok 2020 i przegrane wybory. Potem kompromitację związaną z podważaniem wyników tych wyborów...

...izolację medialną...

...usunięcie go z Twittera. Można powiedzieć, że został wydalony do Sulejówka. Nikt się nim nie zajmował i go nie słuchał. Ale jednocześnie pozostał wiodącą postacią w Partii Republikańskiej i uważano go za najbardziej prawdopodobnego kandydata w 2024 roku.

Wyniki midtermów to zmieniły?

Republikańscy kandydaci na senatorów, kongresmanów, gubernatorów dobijali się w czasie kampanii o poparcie Donalda Trumpa. A tymczasem jedna z powyborczych analiz pokazała, że kandydaci z jego błogosławieństwem mieli wynik średnio o pięć punktów procentowych niższy od pozostałych. I to oczywiście rodzi pytania o jego siłę polityczną.

Magia Trumpa przestaje działać?

Na pewno nie działają już mechanizmy i hasła, którymi operował w 2016 roku. Nie jest już świeżą postacią w amerykańskiej polityce. Nie jest wiarygodny

mówiąc, że Znów Uczyni Amerykę Wielką, bo już miał na to cztery lata. Każdy może ocenić, jak je wykorzystał – nawet jeśli weźmiemy pod uwagę tylko okres przedpandemiczny. Do tego cały czas żyje przeszłością i powtarza narrację o sfałszowanych wyborach. Nawet część jego wyborców jest już tym zmęczona. Cięży mu też duży elektorat negatywny. Wiele osób zagłosuje na każdego, byle nie na Donalda Trumpa. I to wszystko środowiska republikańskie widzą. Od Donalda Trumpa odsuwają się czołowi darczyńcy, opuściła go część mediów, które jeszcze niedawno bezwarunkowo go wspierały.

Brzmi jak początek końca, a nie – jak wieszcy sam Trump – nowy start.

Trump to fenomen i trudno dziś przewidywać, jak to się zakończy. Ale ten kryzys jest poważniejszy niż poprzednie. Uderza w jego aurę zwycięzcy. Nawet gdy przegrał w 2020 roku, dostał więcej głosów niż w poprzednich wyborach. Teraz jest inaczej. Nie przesądzałbym, że dostanie nominację partyjną.

Jeśli nie Trump, to kto?

Sondaże wskazują, że w siłę rośnie Ron DeSantis, obecny gubernator Florydy. Polityk dużo młodszy, który w midtermach odniósł spektakularny sukces. Nie tylko wywalczył drugą kadencję, ale wygrał z przewagą dwudziestu punktów procentowych. I to w stanie, gdzie tradycyjnie poparcie się waha. Deklasacja. DeSantis nie dźwiga ze sobą wszystkiego tego, co dziś przeszkadza Trumpowi. Do tego może mówić wszystko to, co Trump w 2016 roku, bo do waszyngtońskiego bagienka wchodziłby z zewnątrz.

A jeśli jednak Trump? Co by to oznaczało dla Europy?

W dużym uproszczeniu mówiąc: problem. Donald Trump był dla Europy wyjątkowo trudnym prezydentem. Popadał w konflikty z przywódcami zachodnioeuropejskimi, był chaotyczny w działaniu, źle mówił o NATO. Za jego czasów amerykańska polityka zagraniczna nie była stabilna. Brak stabilności i przewidywalności nie jest pożądany nawet w spokojnych czasach, więc teraz, gdy mamy w Europie konflikt zbrojny i narastające inne problemy, zamieszanie w amerykańskiej polityce źle by wróżyło wzajemnym relacjom.

DR

KAROLINA WANDA OLSZOWSKA

Historyczka, turkolożka z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Koordynatorka Regionalnego Ośrodka Debaty Międzynarodowej w Krakowie, autorka podcastów „W szpilkach dookoła świata”



20 lat rządów i... koniec? Co w 2023 roku czeka Turcję Erdoğana?

Od blisko 20 lat niemal jednoosobowo decyduje o tureckiej polityce. Recep Tayyip Erdoğan lawiruje w bliskowschodnim kotle, twardo obchodzi się z Unią Europejską, a ostatnio próbuje wejść w rolę negocjatora między Rosją a Ukrainą. W tym samym czasie oryginalne podejście prezydenta do ekonomii doprowadziło kraj do trzycyfrowej inflacji. Wszystko na kilka miesięcy przed wyborami prezydenckimi – być może najtrudniejszymi w karierze Recepta Tayyipa Erdoğan. „Opozycja jest wyjątkowo zjednoczona” – mówi turkolożka dr Karolina Wanda Olszowska.

Michał Banasiak:

Większość państw europejskich jednoznacznie opowiedziała się w wojnie rosyjsko-ukraińskiej po stronie Ukrainy. Kilka wykazuje ciągoty prorosyjskie. I jest jeszcze Turcja, próbująca cały czas ustawiać się z wiatrem. Wspiera Ukrainę, ale wciąż robi interesy z Rosją. Imponująca przebiegłość polityczna.

Dr Karolina Wanda Olszowska:

Turcja prowadzi politykę wielowektorową od dawna, co najmniej od II wojny światowej. To jest dla niej coś oczywistego. Nawet po wojnie wyzwolenczej z Grekami, Mustafa Kemal uznał, że mimo wszystkich punktów spornych trzeba się jakoś dogadać, bo spokój za granicą daje spokój w kraju. W czasie II wojny Turcja prowadziła interesy zarówno z państwami Osi, jak i z aliantami. Prezydent Erdoğan kontynuuje takie podejście. Z jednej strony dogaduje się z Rosją, z drugiej patronuje umowom pod auspicjami ONZ, a z trzeciej wspiera Ukrainę. I zewsząd czerpie korzyści.

„Spokój za granicą daje spokój w kraju”. Patrząc na problemy gospodarcze Turcji, spokój w kraju jest bardzo potrzebny.

Inflacja cały czas rośnie. Oficjalnie ma 65 proc., a nieoficjalnie może nawet 180 proc. Ceny chleba potrafią zmieniać się co tydzień. Ceny nieruchomości w ciągu roku poszły o 200 proc. do góry, a w Stambule jeszcze więcej.



Rosja teraz potrzebuje Turcji i Turcja o tym wie. Do tego po raz pierwszy może rozmawiać z Rosją jak równy z równym, bo do tej pory Władimir Putin pokazywał Turcji, że to on jest rozgrywającym.

Jak ma się do tego polityka Turcji wobec wojny? Przy tak trudnej sytuacji gospodarczej, Turków to w ogóle interesuje?

Turkom pokazuje się, że Turcja jest światu potrzebna. Że z Turcją każdy się liczy. Porozumienie zbożowe z Rosją jest w Turcji prezentowane jako wielki sukces tego kraju i prezydenta Erdoğan. I to zdaje egzamin, co świetnie widać po sondażach Erdoğan, które długo spadały, a ostatnio zaczęły się nie tylko stabilizować, ale nawet rosnąć. I to trzeba łączyć z polityką zagraniczną, bo sytuacja w kraju się nie poprawia.

Na viralowym wideo widać, jak Władimir Putin cierpliwie czeka na demonstracyjnie spóźniającego

się prezydenta Erdoğan. Turcja korzysta z wojennej okazji, żeby wzmocnić swoją pozycję w dwustronnych relacjach?

Rosja teraz potrzebuje Turcji i Turcja o tym wie. Do tego po raz pierwszy może rozmawiać z Rosją jak równy z równym, bo do tej pory Władimir Putin pokazywał Turcji, że to on jest rozgrywającym. Turcja korzysta teraz z szansy na przerwanie impasu w niektórych spornych kwestiach. Wydaje się, że na naloty na Syrię w listopadzie 2022 roku Turcja miała od Rosji zielone światło. Rosjanie nie tylko stwierdzili, że przestrzeń powietrzna Syrii – nad którą sprawują kontrolę – nie została naruszona, a wręcz pojawiły się informacje, że Rosja negocjuje z prezydentem Syrii przesiedlenie Kurdów z pasa buforowego. Do tego mamy Kaukaz. Prezydent Azerbejdżanu zatweetował, że teraz na Kaukazie rządzą Azerbejdżan i Turcja. To oczywiście jest mocno na wyrost, ale faktem jest, że Rosja, która ugrzęzła w Ukrainie, ostatnio traci wpływy na Kaukazie na rzecz Turcji. Na współpracy z Rosją Turcy korzystają też gospodarczo. W ostatnim czasie znacznie zwiększyli dwustronny bilans handlowy, więc w pewien sposób pomagają też Rosji obchodzić unijne sankcje. Oprócz tego, źle widziani na Zachodzie bogaci rosyjscy turyści przyjeżdżają do Turcji, gdzie zostawiają sporo pieniędzy. Rosjanie są teraz największą grupą wśród obcokrajowców kupujących w Turcji nieruchomości. I to te często bardzo duże i bardzo drogie. Pozostawanie w dobrych relacjach z Rosją po prostu się opłaca.

W polityce zagranicznej Turcja ma ambicje do zostania liderem regionu, czy może chce więcej i marzy jej się doszusowanie do najważniejszych graczy na świecie?

Turcja ma ambicje globalne, ale rozbijają się one o rzeczywistość. Turcja jest państwem średnim, z dużymi problemami gospodarczymi i nie stać jej na bycie mocarstwem globalnym. Na pewno ma ogromne softpower i znakomite położenie geograficzne, które potrafi wykorzystać, żeby dbać o swoje interesy. Stara się pokazywać, że ma podobne możliwości jak Stany Zjednoczone, Chiny czy Rosja, ale tak nie jest. Nie posiada aż takich możliwości jak te kraje, choćby finansowych i wojskowych. W przypadku zagrożenia zwraca się w stronę państw trzecich, najczęściej Stanów Zjednoczonych, bo potrzebuje protektora.

Jak próby zaspokojenia globalnych ambicji Turcji wyglądają w praktyce?

W jej polityce przebija się osmanizm i postrzega część regionu MENA [Middle East and Northern Africa – przyp.red.] jako swoją strefę wpływów, gdzie

przeplatają się tureckie roszczenia i marzenia. Po arabskiej wiośnie Turcja nie miała dobrych relacji w zasadzie z żadnym z krajów tego obszaru, ale ostatnio to się zmienia. Na marginesie mundialu prezydent Erdoğan spotkał się z prezydentem Egiptu, as-Sisim, a do niedawna to byli zaciekli wrogowie. Do tego rozmowy z Arabią Saudyjską, Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi. Turcja inwestuje w Afryce, podpisuje tam umowy gazowe, dostarcza pomoc humanitarną. Próbuje dotrzeć ze swoją ofertą zwłaszcza do tych państw, które chcą wyjść ze strefy wpływów francuskich, postrzeganych jako postkolonialne. Chce pokazać, że ona te kraje rozumie, że będzie ich obrońcą na arenie międzynarodowej. Do tego w dalszym ciągu jest zaangażowana na Bałkanach Zachodnich. Ma tam swoje instytucje, odnawia zabytki z czasów osmańskich, prowadzi kursy tureckiego. No i oczywiście korzysta ze swojego położenia, chociażby przy projektach energetycznych. Gazociągi z Azerbejdżanu idą przez Turcję. Przez jej teren mają też przebiegać rurociągi z Turkmenistanu. Jest więc ważna również dla Europy Zachodniej.



Członkostwo w UE pozostaje niespełnionym marzeniem bycia częścią Europy, ale w tym momencie rządzący chyba nie mają żadnych złudzeń, że to się nie może wydarzyć.

Turcja teoretycznie wciąż pozostaje zainteresowana członkostwem w Unii Europejskiej. Na ile to jest faktyczny cel Ankar, a na ile figura retoryczna, narzędzie, które można w dogodnym momencie wyciągnąć?

Każdy wie, że Turcja w Unii to scenariusz nierealny. Członkostwo w UE pozostaje niespełnionym marzeniem bycia częścią Europy, ale w tym momencie rządzący chyba nie mają żadnych złudzeń, że to się nie może wydarzyć. Zresztą wydaje mi się, że biorąc pod uwagę sytuację wewnętrzną – sposób traktowania opozycji, więzienie osób bez wyroku, aresztowania dziennikarzy – Unia nie byłaby władzy na rękę. Natomiast oficjalnie unijne aspiracje pozostaną. Ta sytuacja trwa od dziesięcioleci i będzie trwać nadal.

Politycy swoje, a co sądzi o tym tureckie społeczeństwo?

Turcja ma duży kompleks Europy i dlatego czasami ostentacyjnie pokazuje, że do tej Europy wcale nie chce. Unia Europejska kojarzy im się z jakimś lepszym światem, do którego chcieliby dołączyć, ale który zawsze będzie niedostępny. Natomiast co

rusz pojawiają się też historie Turków, którzy bez konkretnych powodów nie dostali wize do jakiegoś kraju unijnego. To wywołuje niezadowolenie. Politycznie Turcy czują się traktowani przez Zachód jak kraj drugiej kategorii. Podnosi się, że Unia nigdy nie była na poważnie zainteresowana dołączeniem Turcji, bo np. w przypadku podzielonego Cypru udało się przyjąć do Unii tylko część kraju, a Turcji ciągle wyciągało się jakieś niespełnione kryteria.



Turcja jest dla Europy buforem między Rosją i między Bliskim Wschodem. A taki bufor zawsze lepiej mieć za sobą, niż przeciwko, bo wówczas strefa buforowa się przesuwa.

Prezydent Erdoğan potrafił Unię rozgrywać na swój użytek. Chociażby groźbami otwarcia granic Turcji dla migrantów, którzy mogliby łatwo przedostać się na teren Unii. Nadal może używać tej groźby?

Teoretycznie tak, ale w praktyce jest to bardzo mało realne. Turcja już nie chce unijnych pieniędzy na utrzymanie migrantów, bo w ogóle nie chce migrantów u siebie. To jeden z głównych postulatów opozycji, bo takie są oczekiwania społeczne. Poza tym uważam, że Unia kolejny raz nie dałaby się tak szantażować, bo nauczyła się grać z prezydentem Erdoğanem na podobnych zasadach. Największą słabością Zachodu było to, że na jego bardzo ostre posunięcia reagowało ustępowaniem. Teraz Zachód już się tak nie zachowuje.

Dlaczego Turcja jest potrzebna Europie? Stawiam tezę, że jest, bo gdyby było inaczej, Europa już dawno mogłaby się na Turcję obrazić – pretekstów i powodów nie brakuje.

Przede wszystkim Europa nie może sobie pozwolić, żeby mieć Turcję po drugiej stronie. Jest trudno kontrolowalna, ale jednak jest. Czasami ma wypowiedzi czy ruchy antyamerykańskie czy antyzachodnie, ale polityką kija i marchewki można nad tym zapanować. Skoro rozmawiamy w czasie trwającej wojny, to spójrzmy na kwestie wojskowe. Turcja ma drugą najlepszą armię w NATO. Już od początków zimnej wojny skupiała się nie tylko na kupowaniu sprzętu, ale i technologii. Dlatego teraz sama potrafi tworzyć sprzęt konkurencyjny dla chociażby amerykańskiego. Do tego armia turecka jest gotowa ponosić duże straty, bo tam i żołnierze i opinia społeczna inaczej podchodzą do śmierci żołnierza na froncie.

Turcja jest dla Europy buforem między Rosją i między Bliskim Wschodem. A taki bufor zawsze lepiej mieć

za sobą, niż przeciwko, bo wówczas strefa buforowa się przesuwa. Poza tym nie wiem jaki inny kraj mógłby dziś negocjować z Ukrainą i Rosją na tyle skutecznie, na ile robi to Turcja. Gdy Rosja groziła zerwaniem porozumienia zbożowego, Turcja zaoferowała swoje statki do transportu i Rosja się wycofała, bo nie zaatakujecie ładunków przeznaczonych dla Turcji.

Dzisiejszą Turcję utożsamiamy z prezydentem Erdoğanem. Trochę tak, jak na Węgrzech – stawiamy znak równości między polityką państwa a oglądem świata jego lidera. Ale pojawiają się przesłanki ku temu, że wkrótce będziemy się w Turcji przyzwyczajając do nowego nazwiska, bo czekają nas wybory. Co mogłoby się stać z Turcją „po Erdoğanie”?

Niektóre sondaże rzeczywiście wskazują, że prezydent Erdoğan przegra, choć akurat ostatnie są dla niego lepsze niż te sprzed kilku miesięcy. Opozycja jest wyjątkowo zjednoczona, ale jest jednocześnie tak bardzo różna, że nie do końca wiem, jak sobie wyobraża zbudowanie rządu. Mamy w niej partie o bardzo odmiennych poglądach i na razie tworzą koalicję anty, która może się sprawdzić w wyborach, ale być problematyczna już po nich. Na razie nie wiadomo nawet, kogo wystawią jako swojego kandydata na prezydenta. Największe szanse według sondaży mają burmistrzowie Ankary i Stambułu, ale tutaj nic nie jest pewne, nawet to, czy któryś z nich będzie kontrkandydatem prezydenta Erdoğan. Polityka turecka jest bardzo zmienna i czasem wystarczy nie śledzić Twittera przez dosłownie kilka godzin, by trafić nagle do nowej rzeczywistości. Pytanie więc, co się wydarzy do czerwca, bo wydarzyć się może dużo, ale na pewno prezydent Erdoğan zrobi wszystko, żeby wygrać. Wie, że jeśli przegra, czeka go najprawdopodobniej Trybunał Konstytucyjny – to zapowiada opozycja. Dlatego już mówi się o tym, że po przegranej najpewniej wyjedzie z kraju.

Gdzie miałyby udać się na polityczną emeryturę? Czy przynajmniej polityczny urlop?

Naturalnym kierunkiem byłby Katar, bo ma z nim bardzo dobre relacje. Ale w takim państwie byłoby ryzyko, że przehandluje go ono za różne interesy i zgodzi się na ekstradycję. Mówi się więc o Stanach Zjednoczonych, bo to kraj, który szanuje praworządność. Jeśli przeciwko Erdoğanowi nie byłoby odpowiednich dowodów, nic by mu tam nie groziło. Ale to wszystko daleko idące spekulacje. Prezydent Erdoğan zaangażuje wszelkie środki, żeby wygrać i tam, gdzie się da, wpłynąć na wynik wyborów.

Co zdecyduje o wyniku?

Na początku 2022 roku wydawało się, że kryzys ekonomiczny jest tak duży, że raczej to będzie rzecz, która doprowadzi do końca obecnej władzy. W latach 90. władza została zamieniona właśnie z powodu kryzysu. Teraz jednak na agendzie politycznej dużo miejsca zajmuje polityka zagraniczna. Wojna rosyjsko-ukraińska, ale też Syria. Strach przed zamachami terrorystycznymi ze strony Kurdów cały czas jest w Turcji żywy, a listopadowy wybuch w Stambule tylko go rozbudził. Prezydent natychmiast to podchwycił i już mamy mobilizację społeczeństwa wokół tego, dobrze znanego, tematu. Może się więc okazać, że to kwestia Syrii w kontekście bezpieczeństwa wewnętrznego Turcji będzie decydująca. Tutaj prezydent Erdoğan może się wykazać, a opozycja nie ma narzędzi, żeby działać.



Polityka turecka jest bardzo zmienna i czasem wystarczy nie śledzić Twittera przez dosłownie kilka godzin, by trafić nagle do nowej rzeczywistości. Pytanie więc, co się wydarzy do czerwca, bo wydarzyć się może dużo, ale na pewno prezydent Erdoğan zrobi wszystko, żeby wygrać.

Co najbardziej zmieniłoby się w tureckiej polityce po przejęciu władzy przez opozycję?

Na pewno zmieniłoby się podejście do migracji. Cała opozycja deklaruje, że jak tylko dojdzie do władzy, to przebywający w Turcji uchodźcy zostaną odesłani do swoich państw. Podnoszona jest kwestia zmiany systemu prezydenckiego z powrotem na system parlamentarny. W polityce zagranicznej Turcja nadal stawiałaby na konkretne korzyści i balansowanie między różnymi partnerami.

BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI

Politolog i publicysta.
Dyrektor i założyciel thinkzine'u
i wydawnictwa „Nowa Konfederacja”



Reformować Unię czy szukać alternatywy? Przyszłość europejskiej współpracy

„Europa ojczyzn czy federalizacja?” – pytałby Szekspir, gdyby przyszło mu pisać o Unii Europejskiej. To fundamentalne w kontekście europejskiej integracji pytanie, nieustannie towarzyszy rozważaniom o przyszłości współpracy na Starym Kontynencie. Czy znalezienie odpowiedzi wkrótce będzie konieczne? Czy w tych poszukiwaniach pomogą mniejsze sojusze, jak Grupa Wyszehradzka czy Trójmorze? O tych dylematach mówi politolog i publicysta Bartłomiej Radziejewski.

Michał Banasiak:

Rok 2022 nie oszczędził Europie problemów. Począwszy od niełatwego przecież wychodzenia z pandemii, przez wojnę, po kryzys energetyczny i co najmniej widmo kryzysu gospodarczego. W tych trudnych momentach państwa samodzielnie prowadziły również te polityki, za które w spokojnych czasach odpowiadała Unia – teraz krytykowana za opieszałość czy brak decyzyjności. Czy w związku z tym odżyje debata o przyszłości Unii w jej obecnym kształcie?

Bartłomiej Radziejewski:

Nie wiem, czy ten rok wnosi coś nowego do dyskusji o przyszłości Unii. Żyjemy bieżącymi emocjami i ilekroć dzieje się coś ważnego, jak teraz wojna czy kryzysy, mamy skłonność sprowadzać wszystko właśnie do tych wydarzeń. A więc skoro Unia pokazała teraz pewne słabości, to mnóstwo jest głosów, że to powód do jej reformy. I one zasadniczo są słuszne, bo Unia faktycznie okazała się umiarkowanie efektywna w starciu z problemami całego sojuszu i jego członków. Ale to, że Unia Europejska jest tworem geopolitycznie słabym, mało decyzyjnym, mającym kłopoty ze skonsolidowanym działaniem i pełnym podziałów, wiedzieliśmy już wcześniej. Unia wymaga zmian bez względu na wojnę i tegoroczne kryzysy. To wszystko nie ujawniło, a co najwyżej uwypukliło unijne problemy.



Pomysł zaciągania wspólnych długów dla pomagania Ukrainie to zapowiedź jeszcze głębszej federalizacji niż przy kwestii długów covidowych. Już wtedy niektórzy mówili o momencie hamiltonowskim Unii, a proponowane teraz długi miałyby być wspólne w jeszcze większym stopniu niż tamte.

Czyli wracamy do strukturalnego dylematu: federalizacja czy państwa narodowe?

Komisja Europejska, z grupą graczy unijnych, proponuje, by wojnę ukraińską wykorzystać jako asumpt do głębszej federalizacji. Pomysł zaciągania wspólnych długów dla pomagania Ukrainie to zapowiedź jeszcze głębszej federalizacji niż przy kwestii długów covidowych. Już wtedy niektórzy mówili o momencie hamiltonowskim Unii, a proponowane teraz długi miałyby być wspólne w jeszcze większym stopniu niż tamte. To jest unijny mainstream, ale może należałoby przebić się z zupełnie innym myśleniem i ożywić dyskusję nad

zredukowaniem roli Unii i sprawieniem, by to państwa narodowe miały więcej do powiedzenia.

W ostatnim czasie państwa członkowskie regularnie nie oglądały się na Unię, tylko robiły po swojemu. Tak było z decyzjami o dozbieraniu, z wysyłaniem Ukrainie pomocy finansowej, z przyjmowaniem uchodźców, a nawet pakietami pomocowymi dla gospodarek, co już jawnie było dbaniem wyłącznie o siebie, bez pamiętania o wspólnym rynku czy ochronie konkurencyjności.

To samo było w pandemii. Nastąpiło wówczas szybkie zawieszenie strefy Schengen i każdy zajmował się sobą. Sprzęt medyczny czy potem szczepionki były kupowane przez jednych, kosztem drugich. Dopiero później Unia zaczęła działać wspólnie i jeśli chodzi o wsparcie gospodarcze ogłosiła program wspólnych długów i odbudowy. On nie jest bagatelny, wręcz przeciwnie, ale pojawił się spóźniony i nie był w stanie zlikwidować różnic interesów. A one są potężne. Inna jest percepcja zagrożeń geopolitycznych na wschodzie Europy, inna na północnym wschodzie – w Szwecji i Finlandii, a zupełnie inna w Niemczech czy Francji. Nie mówiąc o południu Europy. Egoizmy narodowe istnieją i ich nie zlikwidujemy.

Unia wyciągnęła jakieś wnioski z brexitu? W Brukseli pojawiła się refleksja nad tym, że decyzja o wyjściu z Unii była przynajmniej częściowo związana z brakiem zgody na kierunek i sposób integracji?

Jedyne wnioski wyciągnięte przez mainstream europejski, to chyba właśnie poczucie większej zgody na cichą federalizację. No bo nie ma już tych wetujących Brytyjczyków. Natomiast faktycznie brakuje takiej myśli, że coś robiliśmy nie tak, skoro ktoś od nas odchodzi. Dostrzegam duży problem z uczeniem się europejskiego mainstreamu na swoich błędach. To, co obserwuję w związku z nową pravicową falą w Europie – mam na myśli zwłaszcza Szwecję i Włochy – pokazuje, że na poziomie Unii nie ma za bardzo chęci do uczenia się i zmiany sposobu prowadzenia integracji.

Z czego to wynika?

Winna nie jest sama struktura Unii, a słabe przywództwo. Zarówno na poziomie samej Unii, jak i państw członkowskich. Brexit też to pokazał. Zapowiadano ukaranie Wielkiej Brytanii, żeby brexit okazał się maksymalnie kosztowny. To miała być nauczka dla innych. Tymczasem okazało się, że brexit nie był jakoś przesadnie uciążliwy finansowo czy gospodarczo. I tu też niejasny sygnał na przyszłość, który można czytać także jako zachętę albo

przynajmniej brak sprzeciwu dla opuszczania Unii przez innych.



Natomiast faktycznie dokonuje się cicha, pełzająca federalizacja Europy. Przeprowadzana bez debaty, bez mandatu demokratycznego. Obejmująca tak kluczowe obszary jak sądownictwo, politykę energetyczną, klimatyczną, finansową, uwspólnianie długów. Fundamentalne rzeczy, o których Unia chce decydować bez zgody narodów.

Dostrzegasz na kilku-, kilkunastoletnim horyzoncie czasowym moment, w którym Unia musi podjąć decyzję, w którą stronę idzie? Kiedy państwa członkowskie nie mogą dłużej bawić się w kotka i myszkę i raz robić po swojemu, a raz po unijnemu?

Dziś państwa rzeczywiście podejmują decyzje na bieżąco i dość oportunistycznie. Federalizm europejski osiągnął natomiast według mnie wysoce paradoksalne stadium swojej ewolucji. Gdy zapytać o federalizm kogokolwiek zajmującego się sprawami europejskimi odpowie, że to idea w zasadzie martwa albo półmartwa. Że przecież poniósł tak duże klęski w referendach we Francji i Holandii, i później, w drugiej dekadzie XXI wieku; że jest w głębokim odwróceniu. Natomiast faktycznie dokonuje się cicha, pełzająca federalizacja Europy. Przeprowadzana bez debaty, bez mandatu demokratycznego. Obejmująca tak kluczowe obszary jak sądownictwo, politykę energetyczną, klimatyczną, finansową, uwspólnianie długów. Fundamentalne rzeczy, o których Unia chce decydować bez zgody narodów. I kiedy wreszcie efekty tego cichego procesu staną się widoczne dla wszystkich, grozi nam masowy bunt i wywrócenie integracji europejskiej.

Czy musimy się zdecydować?

Wydawałoby się, że tak, ale nie ma gotowości, żeby zbudować państwo europejskie. Te pomysły zostały odrzucone na różnych etapach. Nie ma na to momentu politycznego. Dlatego to się nie dzieje otwarcie. Powinno to być moim zdaniem asumptem do zatrzymania się, może nawet cofnięcia i zastanowienia się, co dalej. Bo takie pokątne, pełzające parcie naprzód, bez odpowiedniej legitymacji, może się dla integracji bardzo źle skończyć.

Skoro w państwach członkowskich rosną w siłę obozy jeśli nie antyunijne, to przynajmniej antyfederalistyczne, to może w końcu będą na

forum na tyle silnie obecne i wpływowe, że odwrócą ten trend i zaczniemy poważną dyskusję nie o federalizacji, a właśnie o państwach narodowych?

To tak powinno wyglądać. Koalicje chętnych. Nie ma mocnych podstaw do robienia więcej.

Takie formaty jak Trójkąt Weimarski czy Grupa Wyszehradzka są namiastką takich koalicji?

To formaty o charakterze uzupełniającym. Nie ma mowy, żeby stanowiły jakąkolwiek alternatywę dla integracji unijnej. Trójkąt Weimarski od dawna nie odgrywa żadnej roli. Grupa Wyszehradzka długo nie odgrywała prawie żadnej roli, a jak się nieco reaktywowała, to rozdarła ją postawa Węgier.

Ale w ramach V4 mamy, czy może raczej mieliśmy, pewną zbieżność celów, również w kontekście Unii.

A gdy przyszło co do czego, wyszły jednak rozbieżności interesów Węgier i pozostałych członków. Poza tym w V4 nie ma też zasobów ani woli politycznej, by to było coś więcej niż klub dyskusyjny plus. Weimar z kolei ma problem dysproporcji potencjałów, bo mamy dużych, światowych graczy i jednego średniego. Okazjonalnie to się przydaje, ale trudno mówić, by odgrywał większą rolę. Żeby jakkolwiek format współpracy faktycznie miał polityczne przełożenie, trzeba dużego zaangażowania finansowego, kadrowego, organizacyjnego. W naszym regionie sprowadza to w praktyce rzecz do tego, czy w daną formę współpracy angażują się USA, Niemcy lub oba te państwa. Dla jasności: nie mówię, że Europa Środkowo-Wschodnia nie mogłaby stworzyć czegoś własnego. Wręcz przeciwnie – mogłaby i powinna. Ale to wymaga o wiele więcej pracy własnej. Dziś w praktyce z sojuszy mamy UE i NATO. Mają swoje problemy, ale są to sojusze bardzo znaczące i wiążące.



Organizuje się dużo dyskusji w ramach Trójmorza, epatuje się drobnymi inwestycjami, a wciąż nie ma jednej sztandarowej inwestycji, mającej potencjał zbudowania nowej jakości gospodarczej i politycznej w regionie.

Aspiracje do bycia poważnym sojuszem zgłasza Trójmorze. Spełnia część kryteriów, o których mówisz i kręcili się przy nim Amerykanie.

Trójmorze też nie wychodzi poza formułę klubu dyskusyjnego plus. Amerykańskie wsparcie dla tego przedsięwzięcia było głównie werbalne. Wydaje się,

że to miało związek z incydentalną chęcią stworzenia odpowiedzi dla chińskiego formatu 16 czy 17+1. Natomiast nigdy nie udało się zrobić z tego czegoś naprawdę dużego. Brakuje pieniędzy, woli politycznej, ale i odpowiedniego podejścia. Organizuje się dużo dyskusji w ramach Trójmorza, epatuje się drobnymi inwestycjami, a wciąż nie ma jednej sztandarowej inwestycji, mającej potencjał zbudowania nowej jakości gospodarczej i politycznej w regionie. Jednego przedsięwzięcia energetycznego czy drogowo-kolejowego, które miałyby pieczętę Trójmorza. Można podpinąć się pod Via Carpatia, ale ona powstałaby i bez Trójmorza.



Podstawową kartą, którą możemy położyć na stół, a wciąż tego nie robimy, jest nasza, polska wizja Unii Europejskiej i szukanie dla niej sojuszników

Z czego wynika ta niemoc do przejścia z, jak to ujmiesz, klubu dyskusyjnego plus, do konkretnego sojuszu?

Z tego, że Amerykanie rzucili hasło, a poszły za tym tylko symboliczne zasoby, które nie mogły zmienić regionalnej układanki. Polska i inni oglądali się na Stany, bo sami nie są skłonni wyłożyć pieniędzy i innych zasobów, żeby temu nadać treść. Więc mamy, co mamy. I to ma swoją wartość, bo warto budować relacje, wymieniać myśli, robić nawet mniejsze projekty. Ale to nie jest coś geopolitycznie znaczącego, jak ogłaszają to na każdym kroku polscy promotorzy tego przedsięwzięcia. Można by zadać im pytanie: jesteśmy w stanie zmniejszyć wydatki socjalne albo na edukację, żeby wydawać na Trójmorze? Odpowiedzi możemy się łatwo domyślać.

Z kreślonego w naszej rozmowie obrazu wynika, że mimo całkiem wielu mniejszych i większych formatów współpracy w Europie, żaden nie ma realnego potencjału, by stanowić choćby quasi-alternatywę dla Unii Europejskiej. Wygląda na to, że zamiast szukać dla niej konkurencyjnego forum, powinniśmy, a może nawet musimy, skupić się na pracy nad tym, co mamy – nad samą Unią.

Unia Europejska przy wszystkich swoich słabościach jest pewnym konkretem. Dysponuje ogromnym wspólnym rynkiem, wspólnymi przepływami. Ma swoje niebagatelne znaczenie w skali świata, którego inne, wspomniane tu projekty, nie mają i nic dziś nie zapowiada, żeby mogły je zyskać. Jeżeli chcesz myśleć o alternatywie dla Unii, to trzeba myśleć w kategoriach

potęgi, a nie regionalnej platformy współpracy. W kategoriach tworzenia i eksportu dobrobytu i bezpieczeństwa. Fora dyskusyjne pozbawione istotnych zasobów i niewiele wnoszące w kontekście gospodarczym czy bezpieczeństwa – nie mogą być game changerami.

Może zatem Polska, jako członek kilku takich formatów, ustami całkiem licznego grona polityków i analityków nawołująca do zmian w Unii, powinna przekierować poświęcane na to zasoby i skupić się na lobbowaniu za zmianami, które by nas interesowały i były dla nas korzystne?

Podstawową kartą, którą możemy położyć na stół, a wciąż tego nie robimy, jest nasza, polska wizja Unii Europejskiej i szukanie dla niej sojuszników. Oczywiście to szukanie należałoby rozpocząć już na etapie tworzenia takiej wizji, żeby uwzględnić konglomerat interesów, na przykład środkowoeuropejskich. Według mnie jesteśmy wystarczająco dużym i znaczącym krajem, by taką wizję stworzyć. Region środkowoeuropejski także ma wystarczająco odmienne interesy od Europy Zachodniej, aby ją generować – my możemy temu obozowi przodować. To nie jest łatwe. Wymaga wiele pracy, kadr, pieniędzy, ale jest w zasięgu. I to tu i teraz. Ta nasza wizja powinna się ścierać z innymi wizjami i mielibyśmy już z tego względu dużo pożytku. Sama dyskusja wokół niej dołożyłaby naszą cegiełkę do agendy paneuropejskiej. A więc moja podstawowa rekomendacja na integrację po naszej myśli brzmi: stwórzmy swoją wizję i zacznijmy o nią walczyć.

CEZARY KAŻMIERCZAK

Prezes Związku Przedsiębiorców i Pracodawców i członek zarządu Warsaw Enterprise Institute. Były członek zarządu Centrum im. Adama Smitha



Biznes w czasach kryzysu. „Dopadło nas trzech jeźdźców Apokalipsy”

„Pandemia i wojna tylko wyzwoliły zjawiska, kumulujące się od wielu lat. Co niektórzy zaczęli w tym czasie głosić hasła nowej ekonomii. Mówili, że pieniądze można drukować bez ograniczeń, a państwa mogą się zadłużać właściwie bez limitu. Wydarzenia 2022 roku pokazały, że jest inaczej” – mówi Cezary Kaźmierczak, prezes Związku Przedsiębiorców i Pracodawców.

Michał Banasiak:

Dużo o nim mówimy, obawiamy się go, ale czy powiedziała by Pan, że mamy już kryzys?

Cezary Kaźmierczak:

Na razie kryzysu nie ma. Zakupy konsumpcyjne spadły, ale nie w jakiś znaczący sposób. Inflacja jest co prawda na poziomie 17 proc., ale wzrost płac rok do roku wyniósł 13 proc. Nie jest to dramatyczna sytuacja. Do tego konsensus ekonomistów przewiduje wzrost PKB na poziomie 4 proc. w 2022. Za rok ma być 0,5-0,7, a potem 2,5 proc. To nie jest recesja. Natomiast niepokoi nas rozdźwięk danych płynących z rynku. Wskaźniki PKB, bezrobocia czy produkcji przemysłowej mamy bardzo dobre, ale inflacja czy poziom inwestycji są beznadziejne. Dlatego większość osób zajmujących się gospodarką jest zdezorientowana, a opinie wydawane na temat naszej sytuacji są w większości motywowane politycznie, a nie w oparciu o dane.



Zdarzenia w gospodarce, które teraz obserwujemy i te, których się obawiamy, nie są efektem pandemii czy napaści Rosjan na Ukrainę. Pandemia i wojna tylko wyzwoliły zjawiska, kumulujące się od wielu lat.

Gdyby podmienić liczby, sam opis pasowałby do wielu państw europejskich.

Jest duży poziom niepewności. W największej mierze to kwestia właśnie sprzecznych danych, które trudno jednoznacznie interpretować i postawić na ich podstawie jedną, określoną wizję przyszłości. I to odbija się na niskich inwestycjach. Zwłaszcza, że do niepewnej sytuacji makroekonomicznej dochodzi wysoka wycena ryzyka regulacyjnego. Tych dwóch szatanów się wzajemnie napędza.

Kryzys nie pojawia się z dnia na dzień. Tworzy się gdzieś poza naszym wzrokiem, by nagle nas zaskoczyć i dopiero wtedy zastanawiamy się nad przyczynami. Co teraz nakręca obawy przed kryzysem?

Zdarzenia w gospodarce, które teraz obserwujemy i te, których się obawiamy, nie są efektem pandemii czy napaści Rosjan na Ukrainę. Pandemia i wojna tylko wyzwoliły zjawiska, kumulujące się od wielu lat. Co niektórzy zaczęli w tym czasie głosić hasła nowej ekonomii. Mówili, że pieniądze można drukować bez ograniczeń, a państwa mogą się zadłużać właściwie bez limitu. Twierdzili, że stara ekonomia nie przystaje do nowych czasów. Wydarzenia 2022 roku pokazały, że

jest inaczej. Mamy trzech jeźdźców Apokalipsy: wojna, inflacja i kryzys zadłużeniowy. Razem tworzą ogromne zagrożenie dla dobrobytu europejskiego. A przecież mówimy o Unii Europejskiej. O organizmie, który ma 500 milionów zamożnych konsumentów.



W Europie żyjemy bez wojny długi czas. Mamy teraz swego rodzaju wojnę zastępczą na Ukrainie, ale to dalej nie jest dla Europy pełnowymiarowy konflikt, nie jest w niego w pełni uwikłana.

Dlaczego więc nie skorzystamy w Europie z dobrze znanych i sprawdzonych w przeszłości sposobów walki z chociażby wysoką inflacją?

W Europie główną przeszkodą dla porządku gospodarczego jest euro. Nie da się poskromić tej wysokiej inflacji z tego powodu, że nie można zastosować klasycznych metod jej zwalczania. Gdyby w strefie euro podnieść stopy procentowe i ściągnąć pieniądze z rynku, Holandia, Belgia czy kraje skandynawskie odetchnęłyby z ulgą. Ale ten ruch jednocześnie położyłby całe Południe. Włochy, Hiszpania czy Grecja nie przetrwałyby gospodarczo.

Mówi Pan, że niektórzy głosili czasy nowej ekonomii. Skoro ten scenariusz się nie sprawdził należy się spodziewać, że wrócimy do starych podreęczników?

Politycy niechętnie wychodzą ze swoich wizji, więc pewnie będą nadal próbowali uprawiać nową filozofię. Tak długo, dopóki nie będzie innego wyjścia. To jest obłąd, w którym uczestniczą zwłaszcza bogate kraje. W Europie żyjemy bez wojny długi czas. Mamy teraz swego rodzaju wojnę zastępczą na Ukrainie, ale to dalej nie jest dla Europy pełnowymiarowy konflikt, nie jest w niego w pełni uwikłana. I ten okres spokoju, w połączeniu z naszym dobrobytem – największym nagromadzeniem bogactwa w historii – doprowadza do tego, że pojawiają się próby wymyślenia ekonomii na nowo. Jakiegoś zaklinalnia gospodarczej rzeczywistości.

Liz Truss próbowała zmienić trendy i zafundować brytyjskiej gospodarce poważny przegląd. Trafiła na opór i społeczeństwa, i ekonomistów, i nawet własnego obozu politycznego. Zamiast proponowanych przez nią zmian, mieliśmy zmianę jej.

Nie ma fali na takie głębokie zmiany gospodarcze. Są rozbudzone duże oczekiwania bezpieczeństwa socjalnego i na chwilę obecną nie widzę możliwości

na kolejną rewolucję konserwatywną w rodzaju tego, co wdrażali Margaret Thatcher czy Ronald Reagan. Według mnie to w końcu wróci, ale Liz Truss się nie wstrzebiła.

To może być lekcja dla innych, żeby się nie wychylać i koło się zamyka. Obecne tarapaty niczego nas nie nauczą?

Politycy głównego nurtu zachowują się tak samo, a partie przestają się różnić, jeśli chodzi o postulaty. Konserwatyści i liberałowie mówią to samo co populiści. To jest niebezpieczny trend, bo przestajemy mieć wybór, a zmiana polityczna nie oznacza poprawy sytuacji gospodarczej. Nie uczymy się na błędach. Wenezuela to był kiedyś piąty najbogatszy kraj świata. W czołówce była Argentyna, jednym z najzamożniejszych państw były Włochy. Dalsza droga tych krajów pokazuje, dokąd prowadzi nieodpowiedzialna polityka gospodarcza i przekonanie, że skoro teraz jesteśmy bogaci, to zawsze tacy będziemy i możemy wydawać, ile nam się podoba. Otóż nie. Za każde rolowanie długu w końcu trzeba odpowiedzieć. Wszystkie rachunki trzeba będzie w końcu zapłacić.

Wojna zmienia nasze myślenie o finansach – i na poziomie państw, i gospodarstw domowych. W pewnych sferach zmienia też sytuację gospodarczą, bo mamy np. napływ milionów uchodźców. Wielu z nich podejmuje pracę. To istotny czynnik dla naszego rynku pracy?

W oparciu o PESEL-e możemy stwierdzić, że z fali migracji uchodźczej pracę podjęło około pół miliona osób, głównie kobiety. Dzięki nim zlikwidowaliśmy niedobory kadrowe w gastronomii, hotelarstwie czy usługach domowych – np. opiece nad osobami starszymi. Te branże wciąż są chłonne i mogą zatrudnić kolejnych ludzi. Natomiast jednocześnie ponieśliśmy ciężkie straty w sektorze budowlanym i transporcie, bo szacujemy, że z Polski wyjechało około sześćset tysięcy mężczyzn. I jest niestety wysoce wątpliwe, czy oni wrócą. Kobiety oczywiście będą próbowały ich ściągnąć, ale to jest niewątpliwie uzależnione od rozwoju i końca sytuacji na froncie. Natomiast wygląda na to, że uchodźców może jeszcze przybyć, ale nawet jeśli byłby to mniej więcej milion, dla sytuacji na rynku pracy nie będzie to rewolucyjne. Podobnie zresztą w innych krajach. Tam pracę podjęło po 50-200 tysięcy Ukraińców. To też nie są decydujące dla gospodarek liczby.

Zanim dopadła nas wojna, walczyliśmy z pandemią. Gospodarki europejskie już sobie z jej ekonomicznymi skutkami poradziły?

W Polsce i w naszej części Europy pandemia skończyła się 24 lutego. Różne sektory były w różnym stopniu dotknięte skutkami pandemii, ale ogólnie można powiedzieć, że rynek biznesowy został przez nią przeorany i wiele zasady gry się zmieniło.



Rosji uciekło ponad sto tysięcy zagranicznych firm. To gigantyczna liczba i nawet rosyjska prasa donosi, że centra handlowe upadają. Ale wbrew pozorom to dopiero początek procesu i nie wiemy dziś jak i kiedy się on skończy.

Mówiło się, że pandemia bezpowrotnie przeniesie wielu z nas z biur do domów. Że wszędzie tam, gdzie praca jest możliwa, będą do niej przeć i pracownicy, i pracodawcy. To się potwierdziło?

W wielu sektorach praca zdalna się upowszechniła. Natomiast nie tak, jak to prognozowano w czasie pandemii, kiedy niektórzy wieszczili, że biura znikną w zasadzie całkowicie. Branże usługowe, dominujące w pracy z komputerem, wymagają zwykle pracy zespołowej i kreatywnej, a spotkania zdalne nie są w stanie zastąpić spotkań na żywo i burzy mózgów. Zmiana jest dostrzegalna, ale nie jest to całkowity przewrót na rynku pracy.

Po wojnie czeka nas – Zachód – pomoc w odbudowie Ukrainy. Poszczególne państwa już teraz próbują rezerwować sobie prawo do zajęcia się poszczególnymi inwestycjami czy całymi branżami. Później zapewne będą chciały korzystać ze swojego wkładu, na przykład przez przeniesienie tam jakiejś części swojego biznesu. Jak polskie firmy odnajdą się w tym układzie?

Wydaje mi się, że jako państwo możemy liczyć na 2-3 naprawdę duże inwestycje, z uwagi na nasze zaangażowanie w pomoc Ukrainie i wyjątkowe relacje naszych prezydentów. Na więcej nie ma co liczyć, bo tam kręcą się wszyscy. Włącznie z Tajwanem, Japonią, Koreą. Całe OECD. Wiele państw znacznie bogatszych od nas. Nie będziemy w stanie finansowo rywalizować o duże projekty. Dlatego trzeba bardzo interesować się tymi mniejszymi. Również bardzo dochodowymi i możliwymi do zrealizowania bezpośrednio przez przedsiębiorstwa. PFR i BGK już przygotowały instrumenty, by gładko przez to przejść. Trzeba do tego dorzucić dyplomację gospodarczą.

Europa wróci do jakiejś formy business as usual z Rosją? Pod koniec roku zaczęło się pojawiać coraz

więcej głosów, by już zacząć to rozważać.

Po zawarciu pokoju i zdjęciu sankcji na pewno wiele podmiotów wróci do Rosji. Skalę trudno dziś oszacować, bo na razie wciąż jesteśmy na etapie porzucania rosyjskiego rynku. W listopadzie mieliśmy drugą falę opuszczania Rosji przez europejski biznes. Wycofywać zaczęli się ci, którzy długo myśleli, że nie wiadomo ile zarobią na pozostaniu. Okazało się jednak, że obywatele rosyjscy nie mają pieniędzy, więc nie ma po co tam siedzieć. W sumie z Rosji uciekło ponad sto tysięcy zagranicznych firm. To gigantyczna liczba i nawet rosyjska prasa donosi, że centra handlowe upadają. Ale wbrew pozorom to dopiero początek procesu i nie wiemy dziś jak i kiedy się on skończy. Zwłaszcza, że gospodarka rosyjska jest bardzo specyficzna. Chyba nie ma na świecie drugiej takiej, o charakterze niemal wojennym, ukierunkowanej na zaspokajanie potrzeb ludności przez produkcję taniej żywności i podstawowych artykułów. Tam ma wszystkiego wystarczyć, by dało się przeżyć. Buty czy spodnie mogą być złe, ale mają być i mają być tanie. Dlatego na tym bazowym poziomie są samowystarczalni. Ale żeby mieć coś jakościowego, potrzebują firm spoza Rosji.

INSTYTUT NOWEJ EUROPY



INSTYTUT
NOWEJ EUROPY

FUNDACJA INSTYTUT NOWEJ EUROPY

kontakt@ine.org.pl

Instytut Nowej Europy jest ośrodkiem badawczym (think tankiem) prowadzącym działalność analityczną w zakresie polityki międzynarodowej, gospodarki, bezpieczeństwa oraz nowych technologii, ze szczególnym uwzględnieniem procesu integracji europejskiej i roli Polski w tym procesie.

Misją Instytutu jest tworzenie merytorycznych podstaw i animowanie dyskusji o przyszłości Europy w zmieniającym się łańdźcie światowym oraz globalnym wyścigu technologicznym; wzmocnienie i usprawnianie instytucji krajowych oraz unijnych; a także oddziaływanie na kształt i kierunek polskiej polityki europejskiej i zagranicznej. Nieodłącznym elementem tej misji jest podnoszenie świadomości społecznej o procesach zachodzących w integrującej się Europie.

INE realizuje swoją misję poprzez kreowanie nowych rozwiązań dla polityk publicznych, tworzenie platformy wymiany myśli dla naukowców, publicystów i komentatorów, a także zwiększanie dostępu społeczeństwa do wiedzy eksperckiej.

Publikujemy raporty, pogłębione analizy eksperckie, jak również komentarze bieżące. Tworzymy centra kompetencji oraz programy analityczno-badawcze (Europa, Indo- Pacyfik, Bezpieczeństwo). Współpracujemy z polskimi i zagranicznymi ośrodkami eksperckimi.



GOSPODARKA I TECHNOLOGIA

- Ekonomia
- Transformacja cyfrowa
- Cyberbezpieczeństwo
- Transformacja klimatyczna



POLITYKA MIĘDZYKRAJOWA

- Instytucje europejskie
- Bezpieczeństwo globalne i obronność
- Indo- Pacyfik
- Trójmorze



PRAWO, PODATKI I SPOŁECZEŃSTWO

- Edukacja
- Przedsiębiorczość
- Etyka w technologii
- Dyskurs medialny

Kontakt w sprawie współpracy: kontakt@ine.org.pl
Więcej informacji o Instytucie na stronie: www.ine.org.pl



INSTYTUT
NOWEJ EUROPY

WIZJA
NOWEJ
EUROPY

**ROK OBAW
I NADZIEI.
CO CZEKA
EUROPE
W 2023?**

